Nr 3. Kraków, grudzień 1920. Rok I.

OGNIWO

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY POLITYCE, NAUCE I SZTUCE.

REDAGUJE KOMITET. — REDAKTOR NACZELNY: JAN OWIŃSKI.

PRENUMERATA: ROCZNIE 240 MK. — NUMER POJEDYNCZY 20 MK.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
KRAKÓW, MAŁY RYNEK L. 4, I. — TELEFON NR 1286.

WŁODZIMIERZ TETMAJER.

Myśli o zadaniach włościaństwa w Polsce.

Wstęp.

Każdy naród ma swoje przeznaczenie w dziejach. Nie mówimy tu o jakiemś mistycznem przeznaczeniu, wywołanem w umysłach wiarą w rzeczy nadprzyrodzone, ale raczej o greckiej „ananke“, to jest o pewnych skutkach pewnych przyczyn, które wynikają z takiego lub innego sposobu myślenia i działania, z tego, co nazywamy „typem“ narodu, który — tak, jak typ duszy i ciała poszczególnego człowieka — tworzy jego całe życie i jest jego przeznaczeniem.

Aby tedy być uprawnionym do rozważania zadań dziejowych narodu, czy też jednej jego części, trzebaby uprzytomnić sobie owo jego „przeznaczenie“, t. j. zastanowić się nad jego sposobem myślenia, czyli jego typem.

Jeżeli zaś chcemy określić i poznać sposób myślenia człowieka, musimy znać go dokładnie i to nietylko w dzisiejszej godzinie, ale trzeba z nim „zjeść beczkę soli“, t. j. poznać dzieje jego życia, jego przeszłość.

Gdy zaś chcemy sięgnąć do głębi duszy narodu, poznać jego myśli, t. j. uchwycić jej wątek i dojść, z jakich początków się

snuje, trzeba sięgnąć do historji, bo ta „vitae magistra“, tak często przez płytko myślących pogardzana i odrzucana, jest jedyną drogą do zrozumienia, jakie są przyczyny takich a nie innych skutków i dlaczego taka a nie inna przyszłość danemu narodowi, czy jego części, przeznaczoną być może.

Takie rozumienie sprawy nie jest czczem tylko rozumowaniem przy zielonym lub czerwonym stole.

Życie narodu — to jego polityka. A polityka jest dalszym ciągiem polityki ubiegłych stuleci, czyli jest historją dzisiejszą, która, w zasadzie samej swego rozwoju, nie innemi pójdzie drogami, jak tylko temi, któremi naród, wskutek swego myślenia, od początku chadzał, aż do dzisiejszej chwili przyszedł i dalej w przyszłość swoją pójdzie.

Zmieniają się tylko ręce, które ster nawy państwowej prowadzą, zmienia się załoga okrętu.

Wszelako ci, co po poprzednikach obejmują służbę, z tego samego narodu pochodząc, tą samą myślą rządzeni, choćby tych poprzedników swoich od steru usunęli gwałtem, to przecież nie inaczej okręt poprowadzą, jeno w myśl poprzedników.

Mogą oni zboczyć z drogi, lub w inne porty zawinąć, jednakowoż, do tego samego celu dążąc, bezwiednie tą samą myślą kierowani, celu tego nie poniechają.

Albowiem celem tej drogi jest dobro Ojczyzny.

Przebiegnijmyż tedy śladem rozwoju tego społeczeństwa, którego podstawą jest naród rolny, ten sam, któremu dzisiejsza chwila przeznaczyła prowadzić ster państwa polskiego w przyszłość i wziąć na barki odpowiedzialność za drogę i rozwój tego państwa.

* * *

I.

Nieco z historji.

Naród polski, złożony z różnych szczepów lechickich, rozsiadł się był w dorzeczach Odry i Wisły, od Karpat do brzegów Bałtyckiego morza, w kraju lesistym i obfitującym we wodę, a trzebiąc lasy dziewicze, już w najdawniejszych czasach stawał się ludem rolnym.

Pierwotne polityczne związki były związkami ludu, pierwotnym ich rządem był wiec ludowy.

Dzieje narodu polskiego zaczynają się jednak od chwili, kiedy książę najbardziej dojrzałego szczepu, celem obrony przed złym sąsiadem, jednoczy pod swą władzą szczepy słabsze, książąt ich zamienia na podwładny sobie stan szlachecki, z ubogich wojowników czyni swoje rycerstwo, a ziemię oddaje w uprawę ludowi.

Pierwsi monarchowie są władcami w całem znaczeniu słowa, rządzą za pomocą urzędników, rycerstwo jest wojskiem, a ludność wieśniaczą.

Inaczej być nie mogło, bo naród był jeszcze młodym, dziecinnym i ślepo słuchał księcia, niby ojca narodu.

Okres ten dziejów zowie się okresem patrjarchalnym.

Naród, w owe czasy jeszcze nieliczny, na ogromnych, lesistych osiadły obszarach, zwolna tylko rozlewa się po swojej ziemi, której obszary wydają się nieprzebrane.

Toteż książę za służbę rycerską nagradza nadawaniem ziemi, a rody rycerskie się bogacą.

Zwolna jednak tworzą się stany: szlachecki, władyków, duchownych, którym książęta wielkie nadawają dobra, i włościan. Ziemia zaczyna się zaludniać, rządy państwa przechodzą — po śmierci Krzywoustego — na władców poszczególnych dzielnic, mnoży się ilość urzędów i wojska, które książę z obszernych swych dzierżaw utrzymuje, i Polska z okresu patrjarchalnego przemienia się, w ciągu wieków, w państwo patrymonjalne, t. j. państwo, rządzone na koszt księcia, z jego majątku, zwanego: patrimonium.

Książę przestaje być już samowładnym, ale ze samodzielnie rządzącemi się stanami liczyć się musi, określając ten stosunek ówczesną formą ustawodawstwa: przywilejem.

Rozpoczyna się już gra polityczna księcia z jednej, a stanów z drugiej strony, i książę wieku XIII szuka oparcia na stanie wieśniaczym przeciw możnym świeckim i duchownym oligarchom.

Olbrzymi przewrót polityczny i społeczny oraz ekonomiczny, spowodowany katastrofą najazdu Mongołów w połowie XIII wieku, wywołuje zmianę stosunków, osobliwie odnośnie do stosunków ziemiańskich.

Potrzeba ciągłego pogotowia wojennego, oraz wreszcie chęć spokojnej pracy i posiadania, powodują, że rycerstwo osiada coraz częściej na roli. Książęta rozdają ziemię rycerzom, rody możne się rozpleniają i dzielą swe olbrzymie obszary między rozrodzonych potomków, a ziemia zaludnia się coraz gęściej.

Wówczas to wytwarza się pojęcie, że ten, co ziemię posiada, obowiązanym jest jej bronić, zatem do stanu ziemiańskiego przywiązany jest obowiązek służby wojskowej.

Już wtedy wyrabia się owo tradycyjne, polskie przywiązanie do ziemi, tem bardziej więc mnożą się zastępy rycerstwa przez napływ tych żywiołów, które za usługi, państwu oddane, ziemię w dziedzictwo — jako nagrodę i sposób spokojnej pracy — otrzymują.

Wtedy to z dawnych i nowych posiadaczy ziemi wytwarza się stan szlachecki, powiększany stale przez coraz nowych urzędników, przez uboższych ziemian i biednych rycerzy.

Szlachcic ma na folwarku roboczą, bezrolną czeladź, ale obok niego siedzą na ziemi, niezależni od niego, chłopi, osiadają też bezrolni ludzie z różnych stanów, t. z. „łazęgi“, którzy samorządne gminy, pod naczelnictwem sołtysów, zakładają.

Tak więc wielka burza dziejowa, która zalała i zniszczyła Polskę w XIII wieku, wywołała nietylko wielki przewrót stosunków politycznych i społecznych, ale pozostawiła po sobie pewnego rodzaju reformę rolną.

Skutkiem jej był nowy okres rozwoju państwa, którego dokonał Kazimierz Wielki, urządzając stosunki wewnętrzne i ujmując je w pisany statut, oraz budując państwo monarchiczne.

Tu ziemia znowu staje się podstawą rozwoju, a ziemianie żywiołem państwowym, przygotowującym już Polskę do jej dziejowych przeznaczeń, t. j. do spełnienia zadań wielkiego, na losach Europy ważącego, mocarstwa.

Odziedziczywszy po ojcu, Łokietku, państwo, mieczem wydarte zaborczym sąsiadom, zrozumiał Kazimierz Wielki, że warunkiem i rękojmią jego odrodzenia, siły i niepodległości jest możliwie najlepsze urządzenie wewnętrzne i że należy wyzyskać wszystkie czynniki, których wartość i praca dla państwa zużytą być może.

A kilka już czynników pracuje dla państwa.

Rozdrobniona majątkowo i, mniej więcej w obrębie swego stanu zrównana szlachta wyłoniła już jednak z pomiędzy siebie jednostki silniejsze i zapobiegliwsze, które — zebrawszy znowu większe majątki — wytwarzają znowu stan możnowładców.

Przedewszystkiem jednak tworzy się możnowładztwo na przyłączonych do Polski ziemiach grodów czerwieńskich, gdzie rozległe,

niezamieszkałe, albo przez Mongołów spustoszone ziemie stają się przedmiotem kolonizacji polskiej, a nowo wybijające się rody zakładają tam ogromne fortuny i możnowładną potęgę.

Na rdzennych ziemiach polskich siedzi jedno- lub kilkuwioskowy szlachcic, a obok niego samorządna gmina włościańska, z owych „łazęgów“, chłopstwa i rycerstwa złożona, a po napadach tatarskich powstała.

Rozwijają się miasta, powstające w XIII wieku na podstawie t. zw. „przywilejów lokacyjnych“ z osadników niemieckich, którym książęta Piastowscy osiedlanie się ułatwiali, dalej, z „łazęgów“, co, zamiast na roli popod grodami osiadali, ze zubożałej szlachty i kmieci, którzy ziemię postradawszy, do osad podgrodzkich wchodzili i tu rzemiosłem, handlem i przemysłem się trudnili.

Potężne, możnowładcze duchowieństwo, władające na obszernych włościach, rywalizuje swym wpływem ze świeckimi wielmożami, a z drugiej strony na folwarkach siedzi ludność uboga, „na odrobek“, jak to i dziś bywa, pracująca, a żyjąca w zależności od swoich chlebodawców.

Wszystkie te państwo-twórcze czynniki otoczył wielki prawodawca opieką, podnosił ich dobrobyt, szerzył oświatę, wyrabiał w nich poczucie potrzeby utrzymania potęgi państwa i obmyślił sposób rządzenia oraz obrony, tembardziej, że od ujść Wisły zagrażał istnieniu Polski groźny zakon krzyżacki.

Całe panowanie Kazimierza Wielkiego wypełnia wykonanie tych wielkich celów, dla których, chociaż z ciężkiem sercem, wyrzec się musi Śląska, zwracając się natomiast na wschód, na żyzne ziemie Czerwonej Rusi.

Przedewszystkiem więc zaprowadza sprężystą administrację centralną, bezwzględnie od władzy królewskiej zależną, i osadza po ziemiach starostów, szeroką władzą uposażonych, a królowi tylko podlegających.

Bezpośrednim swym wpływem na t. zw. „roczkach“ trzyma w zależności od siebie szlachtę, a potęgę możnowładnego duchowieństwa łamie bezwzględnemi często środkami.

Natomiast otacza pilną opieką pracujący lud ubogi.

Nas jednakże zajmować będzie przedewszystkiem ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego, dotyczące rolnego ludu, na który król szczególną zwraca uwagę, pragnąc mu zapewnić odpowiednią pracę w budowie i urządzeniu państwa.

Dlatego, pomijając inne, wspomnimy jego doniosłą reformę, mocą której wyzwolił samorządne sołtystwa z pod wpływu panów, oddając je bezpośrednio sądownictwu królewskiemu.

Stało się to przez przyłączenie wszystkich sołtystw do najwyższych apelacyj sądów miejskich, wedle prawa magdeburskiego urzędujących.

Jest to znowu jeden dowód usiłowania królów oparcia się na żywiole demokratycznym, ziemiańskim, co Kazimierzowi tytuł „króla chłopów“ zjednało.

Wszystkie te reformy i całe przeobrażenie państwa zawarte zostało wreszcie w r. 1347 w pisanem ustawodawstwie, czyniąc z Polski państwo prawne, będące pierwszym aktem rozwoju państwa nowożytnego, t. j. parlamentarnego.

Obrona państwa związana jest teraz nie ze stanem szlacheckim, ale z posiadaniem ziemi, bo ktokolwiek ją posiada, winien pełnić służbę wojenną, a bezrolnych utrzymywać w pocztach swoich musieli, wedle majątku swego, wielcy właściciele ziemscy.

Jest to pierwsze „pospolite ruszenie“.

Naogół okres rządów Kazimierza Wielkiego jest obrazem państwa monarchicznego, gdzie władza królewska ugruntowana jest wprawdzie na wszystkich stanach, jednakże rękojmią jej siły i porządku prawno-państwowego jest oparcie się króla na demokratycznych żywiołach ziemiańskich i demokracji miejskiej.

Za pierwszych Jagiellonów, wskutek zmiany dynastji, państwo z monarchicznego staje się państwem możnowładców.

Za Ludwika węgierskiego i Jadwigi objęli rządy w państwie małopolscy magnaci, a doprowadziwszy do przyłączenia Litwy, zajęli przodujące stanowisko w polityce wewnętrznej.

Stanowiska tego używali jednak nietylko na własną korzyść, gromadząc fortuny, ale przedewszystkiem poświęcając je dla sprawy potęgi państwa, która była przewodnią myślą ówczesnego społeczeństwa, która zdobyła Polsce stanowisko pierwszorzędnego mocarstwa, a którą przeprowadzili możnowładcy.

Jednakże polityka możnowładcza zaczyna coraz bardziej na państwie ciążyć, tem więcej, że potężne duchowieństwo, od Zbigniewa Oleśnickiego, wspiera całą siłą oligarchję, samo nią także będąc, a miasta, które już zaczynały odczuwać dzisiaj nam dobrze znane przejawy starć ze żywiołem ziemiańskim, zaczynają równocześnie kończyć swój okres świetnego rozwoju.

Dzieje się to wszystko za panowania najtęższego z Jagiellońskich królów, Kazimierza Jagiellończyka.

Dumny ten monarcha, dbający o swoją władzę, rozpoczyna walkę z możnowładztwem i opiera się na szlachcie, która zaczyna wchodzić, jako czynny już żywioł demokratyczny, w politykę wewnętrzną.

Kończy się ta walka t. zw. „statutem nieszawskim“, od którego zaczyna się rola szlachty ziemiańskiej, jako szlachty-narodu.

Wówczas bowiem naród szlachecki, dążący do ładu i prawnego porządku w państwie, dąży też do wzmocnienia władzy królewskiej dla złamania rządów możnowładczych, a król na sejmikach w szlachcie właśnie znajduje przeciw oligarchom skuteczne poparcie.

Z biegiem czasu sejmiki generalne zamieniają się w Sejm w Piotrkowie, będący pierwszą Izbą poselską, w przeciwstawieniu do senatu, t. j. Rady królewskiej, złożonej z urzędników i możnowładców.

Państwo z możnowładczego staje się, wskutek wystąpienia na widownię polityczną nowego, demokratycznego żywiołu, państwem parlamentarnem.

Jan Olbracht i Aleksander przeprowadzają dalej dzieło Kazimierza i w r. 1505 widzimy już państwo zupełnie przeobrażone, gdzie cała władza ustawodawcza przechodzi na szlachtę, w Sejmie obradującą, a z królem silnie związaną.

Ten ustrój był zadatkiem przyszłego rozwoju i potęgi mocarstwowej państwa.

Skrzywił się jednak u samego początku przez to, że Izba poselska składała się tylko z jednego żywiołu politycznego, t. j. ze szlachty.

Nie mają już w Izbie poselskiej swoich przedstawicieli miasta, nie ma ich drobne ziemiaństwo włościańskie.

Zwolna, za Zygmuntów, paczy się i krzywi nowożytna budowa Jagiellonów, a władza i rządy państwa dostają się wyłącznie w ręce Izby poselskiej.

Wazowie już mają do walczenia z rozpoczynającą się, wybujałą stanowością i anarchją szlachecką, która w niewstrzymanym rozwoju, w zaślepieniu i coraz większem zacieśnieniu widnokręgu myśli, doprowadza do upadku państwo.

Że jednak już za Zygmunta Augusta coraz gorzej zaczynało się dziać w państwie, dowodzą tego słowa znakomitego pisarza politycznego, Stanisława Orzechowskiego, które tu, z przedmowy do „Djalogu“ w r. 1563 pisanego, przytoczyć warto, albowiem wiele z tych jego bystrych uwag i dzisiaj byłyby na czasie:

„Ale, co nam świadka potrzeba?! Platona filozofa?... gdyż rzeczy zamięszane nasze, a prawie upadły wiek nasz, to nam jawnie pokazuje, że on jedno przez filozofy króle dźwignion i znowu postawion być żadną inną miarą nie może...

„...nie masz posłuszeństwa przeciwko królom, prawdy, wiary, sprawiedliwości między nami niemasz żadnej, pełno wszędzie niepokoja i rozterku. Patrzajże W. M., jakich nam królów filozofów teraz trzeba, którzyby żywot nasz upadły z gruntu dźwignęli, a nas, do końca psować tym nie dopuszczali, którzy miłością Rplitej obłudnie się chlubiąc, wszystkę Rplitę naszą psują!...“

II.

Podobieństwa.

Nie pisząc rozprawy historycznej, nie będziemy się zapuszczali w dzieje upadku.

Wiadomo, że w Sejmie czteroletnim pojawiły się pierwsze myśli ratowania państwa przez powołanie mieszczaństwa do udziału w życiu politycznem, że Kościuszko rozszerzył to powołanie na stan włościański, że wreszcie nieunikniony już upadek przerwał dzieło odrodzenia.

Beznadziejna, długa noc niewoli wstrzymuje życie historyczne Polski, wstrzymuje rozwój, który inne narody przeszły przez wiek XIX-ty, rozstraja społeczeństwo i dzieli je na trzy typy, coraz bardziej od siebie różne, a wkońcu niszczy te zacząki zmysłu państwowego, które się w Sejmie czteroletnim przejawiać poczynały.

Naród nie mógł wyrabiać sobie zmysłu państwowego, bo własnego państwa już nie posiadał.

Walka o istnienie i zachowanie narodowości zastąpić musiała rozwój myśli państwowej.

Tymczasem zaś przez Europę przelatywały echa i odbijały się skutki rewolucji francuskiej w postaci wielkiego rozwoju mie-

szczańskiej, demokratycznej myśli, oraz rozwoju filozofji pozytywnej.

U nas ostatnie powstanie, podjęte pod hasłem nietylko oswobodzenia Ojczyzny, ale także w imię mieszczańsko-demokratycznej myśli, spowodowało swym upadkiem zakorzenienie się racjonalizmu politycznego.

Pozytywizm i racjonalizm w Europie konsolidowały państwa, były bodźcem dla nauki i sztuki, dla przemysłu i trzeźwej polityki państwowej.

U nas odrazu stają one do walki z romantycznym ideałem niepodległości i na podstawie tylko realnej rachuby wykazują bezpodstawność myśli o wskrzeszeniu państwa, zaszczepiając zasady rezygnacji i teorję ugody z zaborcami dla zachowania istnienia bodaj tylko języka i — jak się ludziom wówczas wydawało — odrębnej kultury polskiej.

Wkrótce jednakże taksamo odrębność, jak i dążenie do niej, rozpływają się w wysuniętych przez filozofję pozytywną ideałach ogólno-ludzkich, w których społeczeństwo zaczyna szukać po desperacku jedynej ochrony swej narodowości.

Coraz też silniej opanowują umysły ideały międzynarodowego braterstwa proletarjatu, a państwa zaborcze, tłumiąc je na swoich rdzennych, narodowych terytorjach, podsycają je na zabranych ziemiach polskich, często powodując rewolucyjne wybuchy, aby resztę marzeń o samodzielnym, państwowym bycie do cna wytępić.

Słusznie też stwierdzić można, że życie Polski zatrzymało się na wieku XVIII, a cały rozwój wieku XIX przespaliśmy w letargicznym śnie niewoli.

Szlachta przez ten czas, przegrawszy tak wielką stawkę, jak niezawisłość i państwo, pomimo kilku porywów, rozpoczyna okres upadku i znikania z widowni życia politycznego i społecznego, pozostawiając w spuściźnie mieszczaństwu swoją zewnętrzną kulturę.

Mieszczaństwo jednak ulega wpływom cudzoziemskim, żyje oderwaną doktryną i pod wpływem filozofji i warunków istnienia układa plany reform społecznych wedle książkowej teorji, wedle kanonów, które, jak się wydawało, stworzą prawa życia ludzkości przynajmniej na kilka wieków naprzód.

Ale zapatrzone w cudzą myśl i w cudzy typ, odgrodzone od ludu rolnego murem różnicy i poziomu cywilizacji, oddala się od istoty życia i odrodzenia Polski.

Wspólność życia mieszczańskiego w całym świecie nadaje mieszczaństwu polskiemu pewien typ zewnętrzny, wspólny wszystkim narodom.

Nauka, sztuka, przemysł, handel, teatr, dziennikarstwo, literatura, strój i restauracja, biuro i mieszkanie, są wszędzie do znudzenia jednakowe, i taką też od życia ziemi oderwaną, wszędzie jednakowo przeciętną była myśl mieszczańska XIX wieku.

Wszędzie indziej jednakże, była ona podstawą jednolitości poglądów na siłę państwa, była podporą państw.

U nas, trzy zgubne wpływy państw zaborczych przeobrażają powoli ogólno polski typ i sposób myślenia mieszczaństwa, zmieniając go na trzy różne społeczne i polityczne typy, na trzy narody.

Ale niespożyta siła życiowa narodu, wytwarza przez mieszczaństwo umysłową kulturę polską, która przez ten straszny dla nas wiek XIX przechowuje myśl narodową i ideał niepodległości.

W dwóch zaś dzielnicach, zagarniętych przez wrogie nam, ale mimo wszystko europejskie państwa, wytwarza się pewne wyrobienie polityczne, osobliwie w tej części Polski, która w długoletnim konstytucyjnym ustroju, znalazła znowu, po długim okresie jej braku, szkołę politycznego życia.

W tej też dzielnicy zaczyna zrazu kiełkować, potem z żywiołową siłą wybuchać, ruch ludowy.

I na tym żywiole także stosunki życia w obcych państwach wycisnęły swe piętno, wywołując różnice w rozwoju umysłowym, w sposobie myślenia, a nawet w ogólnym typie włościaństwa.

O ile jednak społeczeństwo mieszczańskie, żyjące w polityce teorją, albo ogólno-europejskiemi stosunkami, łatwiejszem jest do utraty typu wewnętrznego, a uzgodnienia go z ogólnym, o tyle znowu lud rolny ma jedną niewzruszoną podstawę jednolitości myśli, wszystkim ziemianom wspólną, t. j.: ziemię.

Dwóch chłopów, z najbardziej oddalonych części kraju pochodzących, w różnych warunkach politycznych zestarzałych, obojętnych na sprawy publiczne, lub nawet należących do przeciwnych obozów politycznych, mają zawsze o czem ze sobą mówić, bo w rozmowie o ziemi, o jej cenie i o jej pożądaniu, bo w zazdrości wobec tych, co jej posiadają więcej, bo w sprawach gospodarstwa zawsze się zgodzą i te przedmioty rozmowy są dla nich naprawdę i zawsze najważniejszemi.

Typ życia chłopskiego, zakres myślenia jest na całym obszarze ziem polskich ten sam, a wszystkie inne różnice, jak mniejsze

lub większe oczytanie, taki lub innych obóz polityczny i t. p., są drugorzędnemi i wcale nie istotnemi.

Różnica zaś ogółu włościaństwa w stosunku do innych warstw narodu, solidarność stanowa i nieugaszone poczucie rzekomej czy urojonej „krzywdy“, już dzisiaj przysłowiowej, spaja ten żywioł, będący wybitnym typem, w bardzo silnie zwarty, od reszty odgrodzony stan.

Powoli jednak, w ten zwarty chłopski stan, zaczęły warunki społeczne wprowadzać pewne różnice i coraz silniej pewne antagonizmy rozdmuchiwać.

Włościaństwo, rozradzając się silnie, rozdrabnia ziemię, staje się małorolnem, a w niektórych częściach Polski, osobliwie w bliskości miast, rozmnożył się bardzo licznie bezrolny, chałupnik, albo zgoła nawet i dachu nad głową nie mający wyrobnik.

Zachował on oczywiście swój typ narodowy, ale zmienił swój sposób myślenia i stanął wobec zamożnego lub średniego „kmiecia“ w stosunku dość podobnym, jak do „pana“, t. j. w pewnej zależności gospodarczej.

Socjalizm chętnie przygarnia te ubogie masy, które, powoli, pracując we fabrykach, czy „na odrobek“, stają się oddzielną klasą robotniczą.

Tego ludu roboczego używa socjalizm za pomost do wejścia w życie wsi, a pod wpływem agitacji, zarysowują się już dziś zupełnie rozbieżne interesy, co się też ujawnia na zewnątrz w istnieniu politycznych ludowych stosunków, nieraz w ostry sposób swoich programów broniących.

Reforma rolna, która przyszła, tak, jak pierwsza w XIII wieku, po olbrzymich przewrotach i wojnie, zmieni też i ustrój włościańskiego społeczeństwa, dzieląc je na posiadaczy, coraz więcej ziemi w swych rękach skupiających, a co za tem idzie, z pewnym już budzącym się popędem do pewnego poziomu cywilizacji, i na coraz bardziej mnożące się rzesze uboższych, a zatem zamożniejszym się przeciwstawiających.

Jakiś czas będzie jeszcze łagodzić przeciwieństwa odwieczne pojęcie polskie: r ó w n o ś c i w o b r ę b i e s t a n u. Równość ta jednak stanie się pomału równością między mniej więcej jednako posiadającymi, i tworzyć się zacznie stan ziemiański, ogromnie liczny, bardzo zwarty, od innych warstw narodu, wspólnością życia, zajęć i interesów odgrodzony.

Stan ten obejmie wkrótce w polityce wewnętrznej polskiej, rolę polskiej szlachty, którą zresztą już dzisiaj, tak wiernie według historji odgrywać zaczyna.

Natomiast, ci mało lub zgoła bezrolni, od dłuższego już czasu, śladem trzynastowiecznych „łazęgów“ zapełniają miasta, jako proletarjat, drobni kupcy, rzemieślnicy, a dzisiaj już i jako inteligencja, a wkrótce, wobec reformy rolnej, zaczną tworzyć i gminy, pomnażając szeregi tej nowej, na przyszłość historji przeznaczonej, t. zw. „hassy szlacheckiej“, czyli „ludzi“.

Przypomnijmy sobie historję, a łatwo uwierzymy, że pewien typ narodu wytwarza i wytwarzać zawsze będzie, *mutatis mutandis*, pewien jemu właściwy typ ustroju społecznego i polityki.

Chodziłoby tylko o to, aby w naszej polityce ludowej powracały częściej odruchy z czasów Kazimierza Jagiellończyka, a jaknajrzadziej, jeżeli już ich zupełnie wykluczyć nie można, powtarzały się zjawiska wieku XVIII-go.

Dzisiaj, przyznać trzeba, włościaństwo polskie znajduje się w podobnem stadjum rozwoju, jak szlachta XV w., a technika polityczna w dzisiejszym Sejmie konstytucyjnym dziwnie często przypomina rok 1454, kiedy to szlachta, podówczas przez możnowładców krzywdzona, groźbą rozejścia się z pól Nieszawy do domów, na królu wymogła przywileje, łamiące możnowładztwo, a zabezpieczające jej prawa.

Jedna jest tylko zasadnicza różnica, polegająca na niezrozumieniu w pewnych sferach stronnictw ludowych, na czem przyszły wpływ, rostrzygający losy państwa, zależeć powinien.

Oto szlachta XV w., będąca tem naówczas, czem jest dzisiaj lud wiejski, pomimo małego wyrobienia politycznego, widziała jednak, że tylko podtrzymanie władzy królewskiej i ścisłe z nią współdziałanie, stworzy sojusz dwu czynników konstytucyjnych tak silny, że i jednemu i drugiemu, w interesie państwa, stanowczy wpływ zapewni.

A trzeba tego było koniecznie, bo rozprzężenie i chaos w państwie, bo brak poczucia prawa i państwowego zmysłu osłabiał groźnie państwo.

Żądała podówczas szlachta tego, czego się dziś żąda od Sejmu, bo: kodyfikacji praw, ich przestrzegania, usunięcia nadużyć, obowiązku i sumienności urzędników, reform handlowych, celem walki z drożyzną.

Wszystko to osiągnąć by się dało przez oparcie się króla na ludzie (wówczas szlacheckim), oraz oparciu się tego ludu na królu. Zrozumiał to i Kazimierz Jagiellończyk, i często osobiście na sejmikach wojewódzkich stawał pomiędzy szlachtą, pewnym będąc, że osobiste zetknięcie odda mu całe zgromadzenie w rękę.

Ale też druga połowa XV wieku, to najwyższy rozwój polskiej potęgi zewnętrznej, wynikłej z wewnętrznej organizacji.

Gdyby dzieje nasze polityczne znane były szeroko pomiędzy ludem, a nawet w inteligencji temu ludowi w Sejmie przywodzącej, niewątpliwie stosunek ludu do naczelnej władzy państwa byłby podobnym do stosunku, jaki łączył szlachtę XV-go wieku z Kazimierzem Jagiellończykiem.

A wtedy niepodobnemiby się stały, kompromitujące nas na zewnątrz, a do obrony ówczesnych możnowładców bardzo podobne akty gorszącej walki o władzę w państwie.

Gdyby wnikanie w ducha naszych dziejów zajęło więcej umysły polityków od drobnych, siły stronnictwa i ludu rozpraszających interesów i spraw podwórzowych, niewątpliwie rozszerzyłby się widnokrąg myśli całego ludowego przedstawicielstwa.

Zrozumienie zadań ludu w dziele budowy naszego nowego państwa, byłoby myślą przewodnią polityki stronnictwa w Sejmie.

Dziś jednak żyjemy jeszcze tradycją XVIII w., tradycją polityki ściśle stanowej, interesu państwa nie rozumiejącej, a tylko o stanowe korzyści dbałej.

Rozwoju XIX w. lud polski nie przeszedł, tak, jak nie przeszedł go cały naród.

Jednakże, jeżeli całość narodu na ogół wyczerpaną jest wytężoną pracą nad utrzymaniem istnienia narodu, jeżeli jest anemiczną z powodu licznych upustów krwi, to lud przechował się przez ten wiek niewoli, jakby we śnie, i dzisiaj wstaje świeży i młody, z olbrzymim zapasem twórczych sił, do budowy państwa.

Polska będzie ludową, bo inną być nie może. Ale może ona być stanową, bo stanową była Polska XVIII w., a tę stanowość i jej skutki przeklina dzisiaj historja.

Demokratyczną będzie Polska, bo rządzić w niej będzie polski lud.

Ale ten lud, jak z jednej strony musi zrozumieć, że tak, jak za Kazimierza Wielkiego, mądra polityka państwowa wymaga pociągnięcia do pracy wszystkich bez wyjątku żywiołów politycznych, żadnego wyjątkowym przywilejem nie obdarzając, tak z drugiej

strony musi też uznać zdrową myśl Kazimierza Jagiellończyka, który, aby złamać przywileje jednej kasty, postawił zasadę współdziałania pierwszego konstytucyjnego czynnika, t. j. władzy państwa z najliczniejszym, t. j. z ówczesnym ludem.

Doktryny pseudo-liberalne, albo wygodne hasło dla utrzymywania wiecznego chaosu, dla rozpętania wiecznej, a nieubłaganej walki w Sejmie, każące przerzucać wszelką władzę na Izbę poselską, przez nikogo nie kontrolowaną, hasła szerzone nieszczerze, albo z nieumiejętności politycznej, są anarchją, bardzo do czasów przedrozbiorowych podobną.

Jeżeli czasu niewoli lud polski widział w przedstawicielach obcego panowania, w carach i cesarzach wrogich państw, swoją ostoję i opiekę, jeżeli był carskim czy cesarskim, jeżeli za rzecz naturalną uważał, wbrew interesowi narodowemu, że władza ta obca jest silną, i jeżeli miał dla niej szacunek, to dlaczegoż we własnem państwie, gdzie sam jest gospodarzem, miałby tworzyć anarchję, i stawać się wyznawcą „nierządu, którym stała Polska“ szlachecka, ale tylko tak długo, póki jej ten „nierząd“ i rzekoma „wolność“ nie zgubiły.

Wybujała, rozpasana, nie uznająca karbów wolność, jest anarchją i strasznie ciężką równocześnie niewolą.

Prawo, silna władza i poparcie jej przez naród są ostoją wolności narodu i wolności osobistej.

Praworządne państwo, ze silną władzą na czele, z potężnym żywiołem ludowym, który nie pozwoli wybujać warcholstwu, jest rękojmią potęgi narodu i mocarstwowego stanowiska państwa.

Wierzmy, że lud polski, jakkolwiek brat nieodrodny szlachty, pójdzie tą drogą, którą ona szła w XV w., ale nigdy tą, którą doprowadziła Polskę do upadku.

III.

Zadania na przyszłość.

Jakież tedy zadania stałyby przed polskiem włościaństwem?

Polska jest państwem ludowem.

Zaczyna ona życie nowe od tego, co było jej początkiem za czasów przedhistorycznych, zaczyna od Piasta.

Lud będzie władał Ojczyzną, albowiem jest największą, najzdrowszą i najsilniejszą częścią składową narodu.

Jakim zatem będzie lud — taką będzie Polska.

Ale ten lud dzisiejszy, powiedzmy szczerze, nie jest jeszcze takim, jakimby go Polska mieć pragnęła, jakim go Polska potrzebuje, aby żyła wieki, bezpieczna, potężna i szczęśliwa.

Ma ten lud polski wszystkie zadatki na wielki i wspaniały naród, ma wszelkie dane, aby uczynić Polskę jednem z pierwszych mocarstw świata.

Jednakże, kto lud polski kocha, kto weń wierzy, kto na nim przyszłość Ojczyzny buduje, ten wobec tego ludu nie może być tylko pochlebcą, ale musi, wiedziony miłością, uczynić razem z tym ludem wielki rachunek sumienia, uznając zalety, ale nie tając i stron ciemnych, aby je tem snadniej usunąć można.

Rządy obce, przez lat 130 opierające swoje panowanie na tem, żeby lud jak najbardziej od innych warstw narodu odgrodzić, aby jaknajgorszy wyrobić stosunek pomiędzy synami jednej ziemi, pozostawiły głębokie ślady w duszy ludowej.

Powstałe stąd strony ujemne były jednak nietylko skutkiem rządów zaborczych, ale, niestety, już ciasnota myśli i egoistyczna stanowość dawnej szlachty wiele złego jadu w duszę chłopską zapuściły, a rządom zaborczym ułatwiły szatańską robotę.

Pamiętamy nasze marzenia młodości! Nasz zapał do sprawy ludowej, naszą wiarę, że Polskę odbuduje kiedyś polski lud!

Iluż to z tych marzycieli widziało przed sobą ciągle jakiś platoński ideał ludu, iluż, nie umiejąc pojmować życia realnie, a natrafiwszy na rzeczy ludzkie, nie umiało być wyrozumiałymi i pomarniało, albo, zraziwszy się, utraciło wiarę!

Jakież to czarne plamy pisze na czystej duszy ludowej każda agitacja wyborcza, każda robota stronnicza, usiłując ten lud pozyskać dla siebie przez kłamstwo, przez budzenie nienawiści, przez zacieśnianie widnokręgu myśli, przez krzywienie tej myśli dla jakiejś tendencji, a wreszcie przez budzenie złych popędów, śpiących w duszy każdego człowieka!

Ile wreszcie upadku i zepsucia przyniosła ze sobą wojna światowa, niosąca, jak każda taka burza, demoralizację, upadek i zanik szlachetnych popędów, niosąca zdziczenie, zezwierzęcenie i materjalizm!

Ale wszystko na świecie ma swoją złą i dobrą stronę.

Agitacja wyborcza, oprócz swoich stron złych, niesie też i uświadomienie, rozwój polityczny, chęć zajmowania się czemś więcej, niż własne podwórko, bo sprawą publiczną, sprawą ludową.

Już nawet całe szeregi fanatycznych apostołów sprawy ludowej wyszło z łona ludu, już wielu się wyrobiło na tęgich polityków, już wiele bardzo zrozumienia spraw publicznych zakorzeniło się w duszach i mózgach ludowych.

A wojna, pomimo całej demoralizacji i upadku etyki, przyniosła ludowi rzecz ogromnej wagi, bo uświadomienie narodowe, poczucie i przekonanie, że lud jest ludem polskim, w przeciwstawieniu do innych ludów.

Przyniosła mu znajomość własnej ziemi, którą przewędrował w szeregach wojskowych, naprzód obcych, ale potem i własnych.

Wojna, oprócz zdziczenia, obudziła także i rzecz najpiękniejszą i najszlachetniejszą, bo bohaterstwo! a krew, tak obficie przelewana, chrzciła lud na naród polski.

Taką jest forma i taką treść każdego życia.

A te rzeczy złe, a te przewroty, upadki i cierpienia, które lud przechodzi, są rodzajem czyśćcowych otchłani, gdzie w ogniu nieszczęść, w płomieniach wybuchającego grzechu i zbrodni, w oparze krwi i potokach łez czyści się i wyrabia dusza ludu, aby wyjść, po czasie, stężała, oczyszczona, silna, czyniąc z ludu polskiego świeży, mocny, do ujęcia w ręce spraw Polski przysposobiony żywioł polityczny.

A wypadki, bieżące z zawrotną szybkością, spełniają najśmielsze marzenia.

Pamiętam, przed laty kilkudziesięciu, myśl moja w najśmielszych swych latach, wyobrażała sobie chwilę, kiedy ministrami będą chłopi, kiedy w stare, zaskorupiałe formy, wniosą błyski chłopskiego rozumu i tężyznę chłopskiej dłoni.

I oto mi danem jeszcze było, ujrzeć, pod koniec mej ziemskiej wędrówki, spełnione najśmielsze marzenie!

Nic tedy niepodobnego na świecie!

A zatem niech snuje się myśli mojej wątek i wywołuje przed oczy obrazy, których już nie ujrzę ziemską źrenicą, ale które się niewątpliwie kiedyś ucieleśnią.

Śmiały i oryginalny umysł ks. Stanisława Orzechowskiego stworzył był przed wiekami ową słynną budowę państwową, nazwaną przez niego: *Quincunx,* abo wzór korony polskiej, na cynku wystawiony.

Niechże i nam, skromnym ludziom, wolno będzie pomyśleć sobie wzór taki, jakby to państwo nasze w przyszłości wybudowane być mogło.

Otóż, wyobrażamy sobie, bez względu na demagogję, czy doktrynę, że podwaliną budowy będzie dwuizbowe ciało prawodawcze, ścianami silny i celu świadomy rząd, oraz karne wojsko, a zwornikiem trzymającym sklepienie, silna władza naczelna.

Izba poselska mieć będzie oczywiście swoją prawicę i lewicę i swoje potężne i liczne centrum, którego podstawą będą stronnictwa ludowe.

Zastrzec jednak trzeba z góry, że, jeżeli chcemy wznosić budowę solidną, porządnie wykonaną, to należy *a limine* odrzucić na zawsze dwie rzeczy:

Przedewszystkiem dziwne jakieś przekonanie zarozumialca, że koło Polski i jej narodu świat się obraca, i świat ma największy interes w zajmowaniu się sprawami Polski.

To musimy odrzucić, a nabrać przekonania, że jesteśmy tylko jednem z kółek maszyny, i jeśli się kółko zepsuje, czy też z ruchem innych kół nie zgodzi, lub wreszcie odwrotnie obracać się będzie, tak, że ruchowi całości przeszkodzi, to wielki maszynista, zwany: dziejową Nemezis, bez ceremonji to kółko wyrzuci, a innem je zastąpi.

Drugą wiarą, którą odrzucić trzeba, jest wiara w doktryny polityczno-społeczne, do tego nie zawsze szczerze głoszone, wedle których, różne „postępowe“ czy „wsteczne“ mózgi, nie licząc się z życiem i charakterem narodu, pragną to życie urządzać i politykę prowadzić.

Mącą one myślenie szczere, proste i celowe, wypaczają ludzi realnie życiowo myślących, jakimi są chłopi, a łapiąc ich na powierzchownie rozumiane hasła, wprzęgają do takiego lub innego wózka, by z nich uczynić bierną, a sfanatyzowaną masę, często wbrew interesowi własnemu, często przeciw interesowi państwa, bezwiednie, działającą.

I pod tym względem, polski włościanin dzisiejszy przypomina żywo szlachtę XVIII wieku.

Wszakże podówczas różne stronnictwa różnych panów kaptowały sobie tłumy nieuświadomionej szlachty, nie odczuwającej interesu państwa, bojącej się straszaka, „absolutum dominium“ zwanego, drżącej o swą „źrenicę wolności“ i w niej widzącą warunek istnienia Polski.

Mutatis mutandis, to samo widzimy dzisiaj, tylko że przywódcy tych rzesz, które za nimi idą, i słyszane hasła powtarzają,

aż nazbyt często bezkrytycznie noszą inne miana i mówią innej rzeczy.

Ale zasada działania, ale jego pobudki, a często i cele są te same, co dawniej, tak, jak i ta bierna masa wyznawców.

Kto bardziej hałasuje, czyje argumenty są płytsze a błyskotliwsze, kto lepiej zagra na bardzo jeszcze pierwotnych uczuciach, kto silniej uderzy w struny różnych prawdziwych czy urojonych bólów, a przedewszystkiem kto natrafi na mniejszy poziom wyrobienia, ten prowadzić będzie swoją masę tam, gdzie zechce.

Otóż polityka haseł, podjudzań, podejrzeń i jątrzeń!

Wygodna ona bardzo dla pewnych jednostek, ale jakże często przeciwna interesom, jak często powstrzymująca rozwój polskiego ludu!

A nadewszystko, jakże często zgubną jest ona dla państwa!

Jednakże, mimo podobieństwa typu, dzisiejszy lud polski nie jest zupełnie tem samem, co szlachta wieku XVIII.

Prawda, sto lat rządów obcych, perfidnych, przewrotnych, a polskiej myśli państwowej wrogich, skrzywiła drogę polskiego ludu u samego jej początku.

Prawda, że straszna katastrofa ostatnich lat obniżyła poziom etyczny całego narodu.

Prawda, że ostatnia a zarazem pierwsza kadencja sejmowa z wielu względów, nie mogła prawidłowo, w myśli państwowe zacząć rozwijać ludu i pchnąć go odrazu na drogę budowy praworządnego państwa.

Ale włościanin polski nie jest jeszcze przeżytym szlachcicem wieku XVIII, jeszcze nie przeżył ani Sasów, ani Zygmunta III, ani rokoszu Zebrzydowskiego, choć pewne rodzaje „kokoszej wojny“, już są w dzisiejszej Polsce znane.

W każdym razie włościaństwo dzisiejsze jest zupełnie jeszcze świeżym żywiołem państwowym, jest żywiołem politycznie i społecznie realnie i trzeźwo myślącym, a tylko poczucie państwowe, nie jest w niem dostatecznie obudzone, zwłaszcza, wobec własnego państwa.

Jest to rzecz godna zastanowienia.

Dlaczego włościanin polski, był w Kongresówce znakomitym żywiołem państwowym w ręku Moskali?

Czcił cara, którego uznawał za prawego władzcę, wierzył jego czynownikom, czynił różnicę zasadniczą między sobą, a innemi warstwami narodu, które zwał: „Polakami“.

To samo było w zaborze austrjackim, chociaż tam powoli, skutkiem rozwoju politycznego, sączyło się w dusze poczucie pewnej solidarności narodowej z resztą społeczeństwa.

Najmniej tego może było w zaborze pruskim, gdzie wywłaszczenia i różne „wozy Drzymały“, gdzie *kulturkampf* brutalnie i negatywnie budził patrjotyzm polski.

Naraz, runęły olbrzymie, od wieków istniejące potęgi, a przed oczyma ludu stanęła nagle Polska, o której z pewnem niedowierzaniem, a z wielką nieufnością słyszał, której się trochę obawiał, której się właściwie nigdy nie spodziewał.

Stanął oszołomiony przed tem zjawiskiem.

Powiedziano mu, że Polska jest jego, jest ludową, więc zrozumiał, że wszelka własność osobista w Polsce jest jego.

Do rządów, do pozytywnej politycznej pracy nie był dotąd przyzwyczajony, bo rola jego w polityce ograniczała się tylko do opozycji z zasady i przeciw wszystkiemu.

Naraz, postawiono lud przed olbrzymim stosem gruzów i materjału, i powiedziano: buduj Polskę!...

Nie przeszedłszy terminu u mistrza, zwanego historją, zakrzyczany z obu boków przez różnych doradców, otumaniony wypadkami, nie wie jeszcze, od czego zacząć i zaczyna oczywiście od stawiania dla siebie samego ciasnej chałupy, nieco obszerniejszej od dawnej, ale ciasnej i tylko dla siebie, a nie rozumie jeszcze potrzeby wznoszenia z pewnem poświęceniem, wielkiego i pięknego gmachu państwa, gdzie dla każdego miejsce obliczono.

Ale, jak wykazuje historja zaborów, lud polski jest znakomitym materjałem państwowym, w państwie już urządzonem i idącem rozpędem wielkiej maszyny.

W państwach obcych nie brał on jednak udziału prawdziwego w życiu państwowem.

Mimo wszystko, czuł jakoś, że to nie jest jego dom własny, albowiem w budowie tego domu nie brał udziału i ani jednej cegły w ściany nie włożył.

W Polsce, którą sam zbuduje, będzie tak, jak we własnej chałupie, czuł się dziedzicem i gospodarzem i wtedy mu się ta wielka, wspólna z innymi stanami chałupa stanie tak drogą, jak jego własna.

Lud tedy, biorąc czynny i przez czas dłuższy udział w życiu państwowem, stanie się z czasem jego najsilniejszą ostoją.

Włościaństwo polskie musi jednakże nauczyć się wielu pojęć państwowych, zanim się na dobrego budowniczego wyrobi.

Któż będzie jego nauczycielem?

Otóż, podobnie, jak w średnich wiekach, tylko na większe rozmiary, odrywają się od wiejskiej gromady całe tłumy jednostek, idąc w tak zwaną „inteligencję“, t. j. w miasto.

Nie można jednakże uogólniać tego pojęcia.

Nie każdy urzędnik, lekarz, adwokat, profesor, oficer, pochodzący z ludu, należy do ludowej „inteligencji“.

Nie każdy agitator do niej należy i nie każdy polityk.

„Inteligencją ludową“ nazwiemy tych ludzi, co z poczuciem apostolstwa idą w mieście pracować dla wiejskiego ludu.

Tak nazwiemy tych ludzi idei, co z zaparciem się siebie, przejmują tylko szlachetne strony kultury, jej wysoki poziom umysłowy, jej szczytne pojęcie etyki osobistej i społecznej, jej wysokiej pojęcie bezinteresowności, ofiar i poświęcenia dla sprawy, jednem słowem, zrozumieją swoje wielkie posłannictwo apostoła kultury w ludzie i ludu w kulturalnym świecie polskim. Tacy tylko synowie ludu powiodą go w życie historyczne.

Wielu wzruszy ramionami, czytając z uśmiechem te słowa, i rzecze: „banalne i stare ty prawisz morały“!

A jednak tylko takie, a nie inne pojęcie, tylko w tym duchu dokonane czyny, tworzą historję i tylko one, a nigdy co innego, wyrobić zdołają lud na znakomity żywioł twórczy dla polskiego państwa.

Lud czuje to!... I jakkolwiek ma głęboko zakorzenioną cnotę państwową, t. j. trzeźwe myślenie i dbałość o realny interes, to jednak czuje i okazuje to, zwracając się ze swem sercem, ze swem zaufaniem i ze swą dłonią do ludzi idei i poświęcenia.

I to jest właśnie największym zadatkiem przyszłości polskiego ludu.

Dobra szkoła da mu poziom oświaty z biegiem czasu, dobra polityka ekonomiczna da mu podstawy szczęśliwego bytu, kilka kadencyj sejmowych wyrobi wśród ludu dobrych parlamentarzystów.

Są to wszystko rzeczy ważne.

Ale nie przyniosłyby one pożądanych korzyści, nie wprowadziłyby ludu polskiego na drogę pochodu ku rządom w państwie, nie obudziłyby w jego duszy poczuć wyższych, poczuć poświęcenia i obowiązku wobec rzeczy wyższej nad inne, t. j. wobec

państwa, gdyby nie ten drzemiący jeszcze ale żywy pierwiastek idealny w duszy polskiego chłopa.

Aby komuś było dobrze w domu, trzeba go nietylko urządzić czy pobudować. Trzeba ten dom kochać!

Państwo jest abstraktem, jeżeli się nie kocha idei państwa.

Dom postawić można na spekulację i z lekkiem sercem go sprzedać.

Państwo można urządzić i także z lekkiem sercem zamienić je na inne, lub inne przyjąć obywatelstwo.

Chłop jednak polski kocha własną ziemię, wędrując za zarobkiem za oceany, marzy o powrocie, choć tam, często lepsze ma warunki życia.

Chłop, uznaje ludzi, co się zbogacili i swego interesu pilnują, albowiem jest człowiekiem trzeźwym.

Ale polski chłop umie otworzyć serce i duszę ludziom idei i poświęcenia, umie ich cenić.

I otóż te są pierwiastki wyższe, które mogą wytworzyć ideję, a ideą jest państwo.

Skoro ta idea się wykształci, skoro państwo polskie, jego siła i wieczność staną się myślą przewodnią i pragnieniem zbiorowej duszy ludu, wtedy ten lud stanie się żywiołem państwotwórczym.

Wtedy zbankrutują różne doktryny, hasła, agitacje.

W trzeźwym umyśle ludu, w jego mózgu realnym, ale oświetlonym promieniem idei, zapalonym żądzą tworzenia państwa, urodzi się nowy „Quincunx".

Pokaże się wtedy, że rękojmią potęgi państwa jest silna, jednolita, szacunkiem całego narodu otoczona, jakby święta władza naczelna państwa, oparta na olbrzymiej podstawie polskiego ludu, bezwarunkowo na ten lud liczyć mogąca, jego zaufaniem dumna.

Wszystko inne zmieści się wygodnie w tym domu, i dla wszystkiego będzie pomieszczenie.

Przerzucać całą władzę na Sejm prawodawczy, znaczy to iść śladem szlachty XVIII wieku, znaczy to rozstrajać organizm i doprowadzać do anarchji.

Skupiać całą władzę w ręku człowieka, bez żadnej nad nim kontroli, znaczy to dążyć do „absolutum dominium".

Ale umieć urządzić państwo w ten sposób, aby zawsze w danym razie móc wygrać czynnik państwowo lepszy przeciw

gorszemu, aby zawsze umieć stworzyć większość, jest dowodem dojrzałości i tężyzny narodu.

Trzy czynniki są najmniejszą ilością, w której dwa, można przeciwstawić jednemu, co jest właśnie zadaniem polityki i co pozostanie zawsze niezmiennem prawidłem.

Skoro lud polski stanie naprawdę i ze świadomością celu do budowy świątyni swego państwa, uzna on tę zasadę i rozpocznie państwo-twórczą pracę.

*
*   *

Wróćmy jeszcze na chwilę do historji.

Naród polski dał dowody, że jest państwo-twórczym, albowiem nie jeden raz budował państwo i do nowych pojęć je naginał.

Legenda stara powiada, że Polskę rozpoczął Piast, i że on właśnie, jako dobry gospodarz, państwo zbudował.

Od niego poszli dynaści, którzy byli głowami narodu i za ten naród myśleli, tym narodem rządzili.

W ciągu wieków, wyłonił się nowy żywioł państwo-twórczy, książęta dzielnicowi i ich urzędnicy.

Kazimierz Wielki stwarza monarchję urzędniczą i prawną, po jego śmierci państwo-twórczym żywiołem staje się możnowładztwo świeckie, a potem duchowne.

Tymczasem jednak dorasta żywioł nowy, demokratyczny, t. j. szlachta, która w połowie XV wieku rozpoczyna walkę z dawnym i zwycięża, tworząc państwo parlamentarne.

Przez trzy wieki rządzi szlachta, ale zasklepiona w stanowości traci zmysł państwowy, kończąc swe rządy upadkiem Polski.

Miasta, w warunkach niewoli, nie mogły odegrać swej roli w wieku XIX, i zanim się wypowiedzieć mogły, staje do państwo-twórczej roboty największy i najliczniejszy żywioł: Lud.

Lud roboczy jest żywiołem nie tyle państwo-twórczym, ile raczej społecznym i międzynarodowym.

Zdaniem naszem, państwo-twórczą rolę bierze na siebie na kilka wieków polski chłop rolny.

Przejść on musi rozwój dawnej demokratycznej szlachty, ale przejść go musi już ze świadomością przyczyn, które politykę szlachecką skrzywiły, aby nie dopuścić do tego, na czem skończyła szlachta, t. j. do upadku państwa.

W ogniu światowych przewrotów społecznych i politycznych, w oparach krwi straszliwej wojny, w oślepiającym blasku zmar-

twychwstania, w nieopisanem cierpieniu staje lud polski do swych zadań.

Wierzymy niezachwianie, że doświadczeniem wieków nauczony, że cierpieniem podniesiony i uszlachetniony, zedrze ze siebie: „te płachty ohydne, tę Dejaniry palącą koszulę“ i wzniesie zmartwychwstałej Ojczyźnie wspaniałą, wieczną świątynię, gdzie na ołtarzu płonąć będzie nigdy niezgaszona lampa myśli państwowej.

AL. PATKOWSKI.

Ideologja partyjna.

Życie wysuwa dzisiaj tyle spraw pilnych na plan pierwszy, tyle zagadnień doniosłych w tej, to znów innej chwili osobliwej, że rozważania, zdawałoby się oderwane, nie interesują słuchaczy, nie pociągają czytelników. Dlatego może nie czytamy w organach ludowych rozpraw na temat celów, dążeń, przyszłości, czyli programowej teorji stronnictw. Teraźniejszość domaga się spiesznej odpowiedzi. A przyszłość jaka będzie? Nad tem zrzadka, raczej ubocznie mówi się na kongresach partyjnych. Zrzadka, bo rzecz się wydaje mniej ważną; raz się ludzie w tej sprawie zjechali, raz to kiedyś omówili — ramy gotowe, a obrazem staje się taktyka, sposób postępowania; jak gdyby teorja nie ulegała zmianie; jak gdyby ów obraz nie rozsadzał ram, w które na początku pracy zamierzyliśmy wtłoczyć cokolwiek się zdarzy. Ktośby mógł powiedzieć, że to są t. zw. kompromisy, czyli ugody wzajemne; polityk zaś, kiedy chce coś osiągnąć, tak, jak kupiec, gdy chce coś nabyć — musi się to z tym, to z drugim ugodzić. Ugoda w postępowaniu, w życiu rzecz konieczna i znana. Polityk, zapatrzony w swoje, choćby najszlachetniej widziane podwórko, będzie należał nie do tego świata i z nim przeminie cała jego polityka. Wielki poeta Szekspir, w jednem ze swych największych dzieł, dał nam właśnie obraz takiego polityka, który nie rozumiał praw życia. A był to najszlachetniejszy republikanin, zabójca ogarniętego ambicjami osobistemi Juljusza Cezara, Brutus. Lenina wielkość jako polityka będzie niedługo może uznana; podstawą tego uznania, punktem wyjścia będzie, obok żelaznej konsekwencji w postępowaniu, zdumiewająca podatność do zawierania kompromisów, gdy chodzi o taktykę, sposób postępowania. Ale ugoda w postępowaniu z ludźmi pewnych przekonań, nie jest równoznaczna ugodzie

z teorją, z temi lub innemi poglądami. W ten sposób przekonania, ideje byłyby tylko układane na dziś. Polityk może postępować dziś tak, jutro tak, ale cel winien być jeden. Czy znaczy to, że cele nie ulegają zmianie? Kto obserwuje nasz polityczny ruch ludowy, ten łatwo spostrzeże, jak cele, nietylko taktyka, ulegają w pewnych grupach przemianie. Co było przyczyną? Niewątpliwie życie. Ono nas poucza nietylko, jak z ludźmi postępować, ale również, jak zmieniać, t. j. upraszczać lub komplikować taki lub owaki cel naszych dążeń i pragnień. Zdawałoby się wobec tego, że program partyjny nie może być nigdy rzeczą stałą? Tak źle, czy tak dobrze nie jest. Cele w programie mogą ulegać zmianom, ale nie powinien przynajmniej przez czas dłuższy ulegać zmianie nasz sposób patrzenia na cele te lub inne, które pragnęlibyśmy osiągnąć.

Każdy program partyjny jest w mniejszym lub większym stopniu odbiciem pewnego sposobu patrzenia na świat: zarówno obecny, jak miniony, i ten, który będzie. Każdy patrzy na swój sposób; konserwatysta wierzy, że wszystko, lub prawie wszystko, co istnieje, da się zatrzymać i chce właśnie utrzymać stan rzeczy, jaki jest; niekonserwatysta wierzy w przemianę, w zmienność rzeczy i jeżeli jest rewolucjonistą, chce tę przemianę przyspieszyć. Konserwatysta patrzy na świat nierealnie; niekonserwatysta liczy się z rzeczywistością i z nią współpracuje. Czy znaczy to, by nie miał jakiejś idei przed sobą? Niewątpliwie, że ją ma; ta tylko zachodzi różnica między konserwatyzmem a niekonserwatyzmem, że dla pierwszego nierealny sposób patrzenia na świat staje się normą postępowania, punktem wyjścia, gdy dla drugiego życie jest wskaźnikiem postępowania i ono dopiero stwarza jego pogląd na świat.

Zbyt małą zwraca się dzisiaj uwagę na to, że walka partyjna jest nietylko starciem się odmiennych sposobów postępowania, ale także walką światopoglądów. A przecież jest to rzecz bardziej istotna i decydować powinna o wszystkiem. Wśród ugrupowań radykalnych zaznaczają się dwa odmienne stanowiska: ludowcowy i socjalistyczny. Widzimy, jak jednolicie i zwarcie występuje obóz socjalistyczny. Stosunek jego do komunizmu nie jest tak skomplikowany, jakby się zdawało, jak to nawet pewni socjaliści chcą podkreślać. Dzisiejsza ewolucja komunizmu w Rosji zupełnie prostuje ewentualne w tym względzie nieporozumienia. — Wystarczy przeczytać wystąpienie „Naprzodu“, choćby wyjaśnienie

rozporządzeń bolszewickich, zaprowadzających przymusową pracę, aby się o tem dostatecznie przekonać. Konsekwencja i jednolitość stanowiska socjalistycznego, to rezultat ściśle określonego poglądu na świat; obserwacja życia ścisła i przenikliwa daje dostateczną ilość materjału, doświadczenia, jak układać postępowanie swoje odnośnie do tych, czy innych okoliczności życiowych. Czy ruch ludowy ma u nas podobnie określone stanowisko? czy to stanowisko jest jego własne, niezależne? Czy życie jest dlań mistrzynią i przewodniczką w postępowaniu, w służbie idei? Oto szereg pytań niepokojących, domagających się odpowiedzi.

Charakterystyczną rzeczą jest, że radykalne ugrupowania ludowe wyszły właściwie z obozu socjalistycznego i pozostają pod jego wpływem. Umiarkowańsze grupy stały się wyrazem przekonań środka, czyli stanęły jakby na rozdrożu. A jedna rzecz, która te ugrupowania mniej lub więcej ściśle łączy — to obrona interesów stanu, nie klasy. Jeżeli socjalista występuje w obronie interesów robotnika, to łączy się to ściśle z jego poglądem na świat. Robotnik dla socjalisty, to nie mój brat, czy swat, ale towarzysz pracy. Praca zaś, jej wartość, znaczenie, stanowisko w życiu i świecie, to osnowa socjalistycznego światopoglądu.

Stronnictwa ludowe domagają się praw dla ludu, „oddania wszelkiej władzy ludowi", ściślej mówiąc, stanowi włościańskiemu. Ale już tutaj sprawa się komplikuje: w stanie włościańskim mamy grupy średniej własności, małorolnych, bezrolnych i tych najnieszczęśliwszych... komorników. Której grupie zatem władza się należy? Stronnictwa ludowe chcą się uniezależnić od socjalistów, no, i oczywiście, od komunistów. W ten sposób odpadliby małorolni, bezrolni i komornicy; zostałaby średnia własność i w pewnej mierze małorolni. Tymczasem podkreśla się jedność stanu chłopskiego. W imię czego? Rzekomo w imię obrony interesów tego stanu. Czy to nie koło błędne?

Nasza polityka ludowa w swych założeniach teoretycznych, to rezultat ideologji, urobionej przez romantyków polskich XIX wieku. Czegoż oni chcieli? Oderwani od gruntu ojczystego budowali „królestwo Boże na ziemi". W światopoglądzie ludowym dzisiejszym jesteśmy w znacznej mierze spadkobiercami poglądu naszych przodków. Marzy się nam przyszła jakaś „Polska kołodziejów"! Marzenie, rzecz piękna, ale gdzie tu jest liczenie się i współpraca z rzeczywistością?

Byliśmy zawsze i dzisiaj jeszcze jesteśmy społeczeństwem,

niesłychanie mało demokratycznem. Kultura nasza jest nawskróś szlachecka. Wpływ tej kultury do dzisiaj jest tak silny, że nowe pierwiastki wprowadzane rozpływają się w niej nieomal bez śladu. Ale zaszła ważna bardzo zmiana: warstwy, które dotychczas tę kulturę produkowały, zatraciły swoją siłę zapładniającą i twórczą.

Taki rezultat sprawiły ruchy nietylko polityczne, ale społeczne XIX wieku. Zwarta i zamknięta warstwa szlachecka zaczęła mieszać się z innemi stanami i te powoli rozsadzały jednolitą jej siłę żywotną. Że nowe wpływy, nowe warstwy nie stworzyły własnej demokratycznej kultury mogło być następstwem politycznego stanu rzeczy w Polsce; dotychczas nowe siły się nie ujawniły. Mamy tylko objawy instynktów i interesów stanu. Ale to nie może być wyrazem wielkiej przemiany Polski szlacheckiej na Polskę ludową. Wielki też czas pomyśleć o ustaleniu własnego poglądu na świat w szeregach stronnictw ludowych.

WOODROW WILSON.

Dręczące pytania.

(Tłum. P. Skiba).

Dokończenie.

Stary porządek się chwieje i wali przed naszemi oczami, i ten proces nie odbywa się spokojnie, powoli i równomiernie, ale gwałtownie, wśród ognia i dymu, w zgiełku przebudowy. Zwykło się mówić — z gestem gruntownej znajomości wypadków i ludzkiej słabości — że każdy okres czasu jest okresem przejściowym, i żaden z tych okresów nie jest ani mniej ani więcej poddany powszechnemu prawu przemiany. Okres obecny jednak jest przecież jednym z tych kilku zaledwie w historji świata, w których dążność przemiany tak głęboko sięga, tak szerokie obejmuje horyzonty, jak nigdy prawie.

Przewrót, którego jesteśmy świadkami, nie jest normalnym przejawem rozwoju; nie jest on spokojnem przejściem jednego okresu w drugi, nie jest zwykłem dziedziczeniem potomka po przodku. Społeczeństwo przeprowadza żwawą kontrolę swego organizmu od stóp do głów i robi sumienną rewizję swych części składowych. Nie dowierza ono najdawniejszym, uświęconym tradycjom z równie spokojnem sumieniem, jak swym pomysłom świeżym, bada skrupulatnie pochodzenie i przyczyny obecnego stanu

form swego życia. Ono postanowiło przejść radykalne przeobrażenie, które jedynie przez wolne i swobodne wypowiedzenie się i potęgę wielkodusznej współpracy nie wyrodzi się w rewolucję. Spodziewaliśmy się zawsze, iż odnowimy swoje stosunki gospodarcze wtedy, gdy według naszych mniemań odrodzić się mógł nasz stan polityczny. Jestem pewny, iż żaden jednak okres naszej historji nie miał głębszej świadomości swych zadań i nie był tak jednomyślny w swem przekonaniu o konieczności zupełnej i zasadniczej reformy stosunków gospodarczych i politycznych, jak obecny. Stoimy przed rewolucją; nie krwawą, bo Amerykanin nie pragnie rozlewu krwi, ale rewolucją spokojną, opartą na spełnieniu wielkiego ideału, który Ameryka ma przed sobą.

Stoimy więc przed wielkim okresem przebudowy. Okres ten wymaga wielkich ludzi o duchu twórczym, tak wielkich, jak byli ci, którzy budowali system obecnie panujący, podziwiany niegdyś przez świat cały. System spełnił już swoje i kona; konanie jego widzę w tem, iż dopuścił ludzką krzywdę, iż obywateli zmusza obecnie do powątpiewania w bezstronność prawa, iż obywatele domagają się jego zmiany. Nie boję się rewolucji. Jestem przekonany o tem, iż Ameryka potrafi sobą sama owładnąć, swe namiętności opanować. Rewolucja przyjdzie w postaci bezkrwawej przebudowy tak, jak ongi, kiedyśmy niedostateczny i słaby ustrój „stanów“ znosili i tworzyli te potężne Stany Zjednoczone, które służą ludziom nie państewkom w nie wchodzącym, które przez 130 lat były wyrazem postępu. Musimy przeprowadzić zmianę niektórych praw i sposób ich wykonywania, wprowadzić szereg nowości, których domagają się nowe czasy i nowe warunki życia. Wszystko to jednak wykonać powinniśmy jako świadomi obywatele i dobrzy patrjoci po spokojnym namyśle.

O tych sprawach mówię otwarcie i bez troski, widzi je bowiem świat cały. Czas obecny nie jest sposobny do tego, by się w nim wielkie siły układać mogły w tajemnicy. Wielki program gruntownych reform powinien być otwarcie wypowiedziany i otwarcie w czyn wprowadzany. Musimy zbudować nowy, wielki okres naszego życia; trzeba tylko dobrej woli, rozsądku decydujących mężów, przekonania o konieczności współpracy i zgody, do której nas przyzwyczaił system panujący, dzięki czemu zawsze zwycięstwo nad namiętnościami odnosił — rozum.

WOODROW WILSON.

Postęp.

(Tłum. P. Skiba).

W mądrem i pełnem prawdy opowiadaniu o „Alicji z lusterkiem“ czytamy, że pewnego razu porwała królowa z szachownicy małą bohaterkę i zaczęła uciekać z nią z niezmierną szybkością; pędziły razem aż do utraty oddechu, a gdy się wreszcie zatrzymały, Alicja oglądnęła się i rzekła: „Ależ jesteśmy w tem samem miejscu, w którem byłyśmy na początku“. „Tak“ — rzekła królowa — „trzebaby biec z podwójną szybkością, by zajść gdzieindziej“.

Tak samo z postępem. Prawa Ameryki nie dotrzymywały kroku rozwojowi gospodarczemu, ani politycznemu: dlatego nie jesteśmy nawet tam, skąd wyszliśmy. Musimy pędzić naprzód, nie, byśmy oddech stracili, lecz by się zrównać z postępem naszych stosunków ekonomicznych i politycznych. Wtedy będziemy tam, gdzie się nasz rozwój zacząć powinien; tam, gdzie ukazała się owa wielka dążność do postępu, która była nadzieją i gwiazdą przewodnią świata. Z podwójną znów szybkością należy dążyć naprzód, by się ruszyć z tego punktu. Dlatego muszę być postępowcem; choćby tylko z tego powodu, że ani na polu gospodarczem, ani politycznem nie dotrzymywało nasze państwo kroku rozwojowi stosunków. Nie dotrzymaliśmy kroku, jak inne narody. Metod naszych nie dostosowaliśmy do rzeczywistości. Jeżeli naszych praw do rzeczywistości nie dostosujemy, tem gorzej dla nich, bo prawo idzie zawsze za dokonanym faktem. To tylko prawo jest niezdrowe, które wybiega przed rzeczywistość i stara się nagiąć ją do swych wymyślonych zasad.

Gospodarcze położenie Ameryki jest w chwili obecnej takie, jakiem nigdy jeszcze nie było. Nasze prawa są jeszcze układane dla czasów, kiedy każdą czynność wykonywała jednostka; nie nadają się one do tego życia, które przez wielkie związki zostało opanowane. Musimy próbować rozwiązać to zagadnienie. Ja nie mówię: To możemy zrobić, tamto możemy pominąć. My musimy; niema innej drogi. Prawodawstwo, które nie uwzględnia rzeczywistości, nie jej szkodzi, ale samemu prawu. Albowiem prawo — o ile dobrze się nauczyłem — jest wyrazem ustawowo uporządkowanej rzeczywistości. Prawa nigdy nie zmieniły stosunków, lecz

były ich wyrazem; one godzą ze sobą interesy, w miarę, jak te powstają i wprowadzają ich wymianę.

Polityka amerykańska jest przedmiotem, nad którym zastanowić się należy. System zbudowany na naszych ustawach i zwyczajach jest bezsilny i bynajmniej spuścić się na niego nie można; tylko przez niemożliwy wprost nakład pracy i trudu mógłby się ożywić. Rządy, które miał sprawować lud, dostały się w ręce niewielu. Nad formą ustroju demokratycznego urosła niewidoczna władza. Dokonać należy rzeczy poważnych. Czy trzeba wątpić w niezadowolenie kraju?. Czy może ktoś pomyśleć, że niema do tego podstawy i uzasadnienia? Czy odważymy się stanąć? W ostatnich miesiącach widzieliśmy z jednej strony podwojenie się głosów socjalistycznych (połączone z ciekawemi politycznemi wypadkami, które są dosadnym przejawem niezadowolenia mas); z drugiej strony widzieliśmy, że w całym kraju rozlepiono powabne i podniecające karteczki, któremi ogłoszono obywatelom, że „lepiej zdobyć pewność, niż żyć w wiecznej trosce“. Zdaje się, że wielu obywateli wątpiło, czy sytuacja, która, według owych rad, „sama przez się rozwijać się winna“, do tego się nadaje; oni woleli „zatroszczyć się o jutro“. Według mnie, owe rady do bezczynności, owe nawoływania do założenia rąk ze strachu, by się „coś“ nie stało — są najdziwniejszemi argumentami bezmyślnej głupoty — jakie tylko znam. I te rady, dawane patrzącemu z otuchą w przyszłość, silnemu ludowi mówiły, że nie jest jeszcze na tyle dorosłym, by swoje własne sprawy mógł ująć w ręce bez szkody. Amerykanie nie są jednak małoduszni. Zapewne, że ufność w siebie stłumiono latami ucisku. Długo wpajano w lud zasadę, że postępem jest to właśnie, co dają życzliwi magnaci wraz z rządem. To osłabiało ufność w siebie, ale jej nie stłumiło. Słowo „postęp“ czaruje ucho amerykańskie i chwyta za serce Amerykanina.

Naturalnie, są Amerykanie, którzy nie słyszeli o tem, że coś wogóle postępuje. Cyrk może do miasta zjechać, dać przedstawienie, a oni nie widzieli wielbłąda, ani słyszeli dźwięków kobzy, czy jarmarcznego bębna. To są ludzie — i to Amerykanie — którzy nie wytkną swego nosa z czterech ścian i nie wiedzą o tem, że inni z nich już wychodzą, bo są dla nich za ciasne.

Sam ruch i zmiana nie są pożądane same przez się. Ja też nie należę do tych, którzy zmianę i nowość lubią dla nich samych. Tego, który dziś już wypełnił w zupełności swe zadanie, chętnie zobaczę jutro. Wiele z naszych zamierzeń zależy od okoliczności

niezmiennych. Jeżeliby ktoś n. p. dzisiaj rano zapomniał nagle, jak ma się ubierać, jeżeliby zapomniał całego szeregu ruchów, które się codziennie, wprost bezwiednie, zwykle w półśnie wykonuje, musiałby się napowrót uczyć tych rzeczy, które wczoraj i przedwczoraj wykonywał. Psychologowie zapewniają, iż nie wiedziałbym dzisiaj, czem jestem, gdybym zapomniał, czem byłem wczoraj; w ten sposób moja osobistość jest zależną od połączenia dnia dzisiejszego z wczorajszym. Brak między niemi zgody — muszę się zbłąkać; nie wiem, kim jestem, muszę siebie samego odszukiwać i chyba kogoś prosić, by mnie na właściwą drogę sprowadził. Nie należę do tych, którzyby chcieli zerwać swój stosunek do przeszłości i nie pożądam zmian, dla nich samych. Ludzie, którzy tak robią, chcą o czemś zapomnieć, co wczoraj mieli w sobie, to dziś napróżno sobie chcą przypomnieć i błądzą w ciemności; chcą też może coś stłumić w sobie, co się gwałtem w pamięci odnawia. Zmiana jest niepotrzebna, jeżeli nie niesie ze sobą poprawy. Jeżeli chcę się z pomieszkania wyprowadzić, gdyż jest dla mnie niewygodne, muszę sobie nowe, lepsze wyszukać, lub dom zbudować.

Jest to wprawdzie stratą czasu zatrzymywać się przy zupełnie wyraźnej różnicy między zmianą a poprawą; są jednak ludzie, dla których ona nie istnieje. Mieliśmy politycznych przywódców, którzy wyobrażali sobie, iż wtedy będą „wielkimi“, gdy ciągle coś nowego robić będą — cokolwiek, byle coś nowego; byli to ludzie, których energja wyładowywała się tylko w następstwie czynów jednego po drugim, umysł zaś nie ogarniał potęgi koncentracji działania. Życie polega przecież nie na wiecznem i ciągłem szarpaniu się naprzód. Iść tu i tam, błąkać się po różnych miejscach bez wyciągnięcia rzetelnych korzyści jest rzeczą zupełnie zbędną. Przytem kierunek jest zarówno ważny, jak i siła popędowa ruchu samego.

Wszelki postęp zależy od tego, jak szybko i do jakiego celu zdążamy, obawiam się jednak, że częściej zwraca się uwagę na szybkość pochodu, niż na cel jego. Według mego przekonania, największą część naszego postępu wykonujemy na sposób ciekawego przyrządu, który nazywaliśmy w czasach mej młodości „deptanym młynkiem“; jest to jakby olbrzymia obręcz, stojąca pionowo, wewnątrz której stale chodzi nieszczęśliwy muł i wprawia swym chodem obręcz w ruch obrotowy około swej osi, ta zaś za pomocą szeregu kółek obraca kamień młyński. Muł idzie i idzie na-

przód, stoi jednak właściwie w tem samem miejscu. Słonie, [1]) a także i inne zwierzęta weszły także w obręczową platformę tego młyna, narobiły hałasu i poruszyły pewne kółka. Prawdopodobnie były z tego i dla kogoś korzyści, ale postęp dużo nie zyskał. Aby słonia ruszyć, próbowali jego przyjaciele nawet niedawno pobudzić go dynamitem; poruszył się, choć w bardzo rozdrobnionych i porozbijanych swych cząstkach; był to w każdym razie ruch.

Pewien złośliwy, dowcipny jednak Anglik twierdzi w niedawno wydanej książce, że można przekupić każdego, choćby to był człowiek bogaty, doświadczony w swym zawodzie, któremu się wszystko udaje. Taki bowiem człowiek jest już przekupiony, choć nie w zwyczajnem tego słowa znaczeniu. Ponieważ całe swe mienie i znaczenie zawdzięcza panującym stosunkom, poczuwa się już temsamem do obowiązku obrony tych stosunków i dążenia, by się one nie poprawiły; jest więc przekupiony przez możność uzyskania tego, co ma i możność dalszego posiadania. I w tem znaczeniu starałem się — kiedy byłem kierownikiem zakładu wychowawczego — zrobić młodych członków nadchodzącej generacji zupełnie niepodobnymi do ich ojców. Nie dlatego, że ich ojcom brakowało zasad charakteru, inteligencji, wiedzy i miłości ojczyzny. Ci ojcowie jednak, wskutek postępującego wieku i ustalonej pozycji w społeczeństwie, stracili czucie z pulsującem życiem; oni już zapomnieli, co to znaczy: zaczynać; oni zapomnieli, co znaczy: iść naprzód; oni już nie wiedzą, co to jest walka z życiem w drodze z nizin na wyżyny. Zapewniałem zawsze tych młodych obywateli, że w razie stania się podobnymi ojcom, straciliby kontakt z twórczemi, rwącemi się naprzód do czynu, siłami walczącego społeczeństwa.

Postęp! Słowo to prawie nowe. Żadne słowo nie wychodzi częściej i chętniej z ust współczesnego obywatela; zdaje się, że jest on równoznaczny z życiem; a jednak — ludzkość przez tysiące lat nie myślała i nie mówiła o postępie. Jej myśl szła w innym kierunku; z przeszłości miała ona opowiadania o czynach bohaterskich i sławie. Przodek nosił cięższą zbroję i większą włócznię. „W onych czasach żyły olbrzymy“. Dziś jest inaczej. Nie przeszłość, ale przyszłość uważamy za ten czas lepszy, za ten „wiek złoty“, wobec którego teraźniejszość jest niczem. Postęp, rozwój —

---

[1]) Alluzja do politycznych stronnictw Stanów Zjednoczonych. Muł jest godłem partji demokratycznej, słoń zaś republikańskiej. *(Przyp. tłum.)*

oto słowa nowe. Myślenie współczesne opuszcza przeszłość i rwie się w przyszłość.

Co pocznie postęp z przeszłością i teraźniejszością? Jak swój do nich stosunek ureguluje? Odrzuci z pogardą, czy z czcią wobec nich stanie? Czy złamie je zupełnie, lub, czy z nich wyrośnie i wkorzeni się mocno w przeszłość? Jak się postępowcy zachowają wobec panującego porządku, do niektórych instytucyj zachowawczych, do konstytucji, ustaw, sądów, i t. d.? Czy słusznie obawiają się ci ludzie, którzy myślą, iż my wstrząśniemy posadami obecnych urządzeń? Jeżeli oni mają słuszność, to musimy do zmian przystępować z nadzwyczajną ostrożnością.

Jeżeli jest prawdą, że nieznośnie odczuwamy urządzenia, z taką troskliwością i nakładem pracy wykonane, przystępujmy do niebezpiecznego zamierzenia reformy spokojnie i bardzo ostrożnie. Dlatego musimy sobie przedewszystkiem postawić pytanie, czy sposób myślenia naszego społeczeństwa nie jest taki, któryby nas zmuszał do powtarzania drogi, którąśmy już przeszli, albo zwrócił nas w innym wprost kierunku. Sądzę, że starych korzeni drzewa wolności nie należy wyrywać i wsadzać w nową ziemię, z której ono nie wyrosło. Według mego zdania, stare tradycje są dla narodu podstawą istnienia: nie można wyciosywać gładkiej tablicy, aby na niej wypisać program polityczny. Nie możesz wziąć kartki papieru i na niej wypisać dokładnie, jak ma twe życie jutro wyglądać. Musisz nowe zaszczepić na starem. Jeżeli na starej sukni dasz nową łatę — suknię zepsujesz; nie może to być byle nowa szmatka; tam potrzeba dobrej materji, dobrego gatunku, dla tego samego celu robionej. Gdyby postęp nie zawierał w sobie konieczności zachowania zasad naszych instytucyj — ja nie byłbym postępowcem.

Jedną ze znakomitych sposobności, którą miałem, jako rektor uniwersytetu, była radość z możności rozmowy z rozumnymi ludźmi wszystkich krajów. Wprost wypowiedzieć nie mogę, ile tym ludziom zawdzięczam. Szukałem w umyśle swym sposobu, by połączyć w całości rozbieżne swe myśli z zakresu polityki, gdy na szczęście los sprowadził do mego domu pewnego Szkota, trudniącego się rozwojem filozofji XVII wieku. Jego uwagi były zachwycające i mądre; radość sprawiało już to, iż się go słuchało; nagle myśl jego rzuciła to, na co tak długo czekałem. Zwrócił mą uwagę na to, iż każde pokolenie dostosowuje formy swego myślenia do ogólnego kierunku rozumowania, który panuje w tym okresie. Gdy

więc n. p. rozpowszechniła się teorja Newtona o wszechświecie, wszystkie myśli wyrażały się analogicznie do tej teorji; gdy się rozpowszechniła teorja Darwina, stara się każdy wszystkie swe życzenia i pojęcia wyrażać ze stanowiska teorji rozwoju i przystosowania.

Gdy ten znakomity człowiek ze mną rozmawiał, wpadło mi do głowy, że konstytucja Stanów Zjednoczonych została utworzoną pod wpływem teorji Newtona. Przeczytajcie tylko kartkę „Federalisty", by to zrozumieć. Mówi się o „oporze i równowadze" konstytucji i chcąc myśli wyrazić, posługuje się nieświadomie temi samemi wyrażeniami, jak przy określaniu organizacji wszechświata, a zwłaszcza systemu słonecznego.

Mówi się n. p., jak siła przyciągająca ogólnego ciążenia utrzymuje poszczególne części na właściwych miejscach; potem przechodzi się do tego, jak kongres, sądownictwo i prezydent są naśladowaniem systemu słonecznego. Przytem postępowaliśmy za wzorem angielskich „whigów", [1]) którzy dali Anglji nowoczesną konstytucję. Owi Anglicy nie zastanawiali się nad samem zagadnieniem i teorji nie rozwinęli; Anglicy nie mają zmysłu do teoryj. Francuz Montesquieu wykazał im dopiero, jak wiernie naśladowali oni Newtońską teorję mechaniki niebieskiej.

Twórcy naszej amerykańskiej konstytucji czytywali Montesquieu'go z dużem naukowem zainteresowaniem. Owi ojcowie narodu byli na swój sposób uczonymi. Jefferson pisał o „prawach przyrody", a później — z pewną ukrytą myślą — o „boskim pierwiastku przyrody". I urządzili oni państwo tak, jakby wprost naśladując budowę świata, aby zadosyćuczynić prawom przyrody. Polityka była dla nich częścią mechaniki. Konstytucję przykrojono do prawa powszechnego ciążenia. Rządzenie miało się oprzeć na działaniu „oporu i równowagi".

Trudnością tej teorji jest to, iż ci, którzy rządzą, nie są maszyną, lecz istotami żyjącemi. Nie podlegają oni teorji o budowie wszechświata, lecz teorji o życiu organicznem. Tę określił nie Newton, lecz Darwin. Żadna istota żyjąca nie może żyć, gdy poszczególne jej organa stawiają sobie wzajemny opór. Jej życie polega przedewszystkiem na szybkiej i natychmiastowej współpracy różnych organów, na ich szybkiem posłuszeństwie dla instynktu

---

[1]) Tak od bardzo dawnych czasów nazywa się zachowawcza partja polityczna w Anglji.

i rozumu i na harmonijnej wspólnocie celu. Rząd nie jest zbiorem jakichś ślepych sił, jest to grono ludzi, których funkcje, według specjalizacji naszych czasów, są różne, ale służą jednemu wspólnemu celowi. Współdziałanie tych ludzi jest warunkiem pomyślności, ich wzajemna niechęć — zgubą. Bez tego ścisłego i mocnego współdziałania wszystkich organów życia i działań rządy nie będą skuteczne. To nie teorja, ale rzeczywistość. Przystosowana do życia konstytucja musi być zbudowaną według teorji organicznego życia. Społeczeństwo jest organizmem żyjącym i musi podlegać prawom życia, a nie mechaniki; ono się musi rozwijać. Wszystko, czego postępowcy domagają się, jest możność uzgodnienia konstytucji z teorją Darwina — dopóki jeszcze wyrazy „rozwój“ i „ewolucja“ mają w nauce poważanie i znaczenie; wszystko, czego oni żądają, jest tylko uznaniem społeczeństwa za organizm żywy, a nie maszynę.

Niektórzy obywatele Ameryki nie wyszli jeszcze poza „ogłoszenie niepodległości“ z r. 1776. W sercu ich tkwi nienawiść do Jerzego III: nie uświadamiają sobie jednak wyzwoleńczej walki dni dzisiejszych. Manifest niepodległości nie rozciągał się na zagadnienia dzisiejsze i jest bezużyteczny, jeżeli jego ogólnych zasad nie stosujemy do teraźniejszości. Był on całkiem praktycznym dokumentem, przeznaczonym do wykonywania przez praktycznych ludzi; nie był on teorją rządzenia, lecz programem czynności. Jak długo nie przeniesiemy ducha tego manifestu na zagadnienia teraźniejszości, tak długo będziemy niegodnymi synami tych mężów, którzy działali według jego przepisów.

Jaką formę przybrała obecnie walka między niewolą i wolnością? Jaką formę niewoli obecnie zwalczamy? W jakim stopniu zagraża ona prawom ludu i co myślimy zrobić, by walkę przeciwko niej uczynić skuteczną? Co powinno być treścią naszego nowego manifestu niepodległości?

Niewolą, przeciwko której my walczymy, jest opanowanie ustawodawstwa, prawa, i jego wykonania przez grupy, które nie są przedstawicielami ludu i których cele są samolubne. My walczymy przeciwko takiemu prowadzeniu spraw naszych i przeciwko takiemu ustawodawstwu, które zależne jest od interesów zjednoczeń kapitałów i zwracamy się przeciwko połączeniu dla tego właśnie celu aparatu państwowego z celami samolubnemi. Walczymy przeciwko łupieniu ludu przez narzędzia polityki i ustawodawstwa. Mieliśmy bowiem już wypadki, iż nasz rząd skutkiem tych wpły-

wów, przestawał być reprezentacyjnym; przestawał on być rządem— zastępcą ludu, a stawał się reprezentacją samolubnych interesów grup i opanowany był przez szczególne organizacje polityczne, na które lud żadnego nie miał wpływu.

Kiedy się przypatruję wzrostowi naszego systemu gospodarczego, zdaje mi się czasem, jakobyśmy — po pierwsze — zatrzymali nasze ustawodawstwo wtedy, gdy nie znano jeszcze tych wspaniałych wynalazków i nie przeczuwano nowoczesnego rozwoju— po drugie — że rozbudowywano nasz gmach gospodarczy wprost na los szczęścia; tu dostawialiśmy do naszego domu kantor, tam warsztat i szereg ubikacyj, służących do wygodnego... spania; na starych fundamentach budowaliśmy piętra, czyniliśmy przenajrozmaitsze przybudówki; wreszcie otrzymaliśmy gmach bez linji i charakteru. Naszem zadaniem jest żyć w tym domu i jednak go zmienić.

Jesteśmy nowoczesnymi budowniczymi; mamy już także inżynierów. Nie będziemy zamykać ruchu kolejowego, budując dom stacyjny na jego linji. Nie będziemy zatrzymywać wzmożonego trybu życia dlatego, że przebudowujemy dom, w którym to życie się rozwija. Musimy uporządkować podwaliny tego domu, musimy jego stare części opancerzyć stalowem rusztowaniem i odpowiednio wzmocnić, musimy na podstawie dokładnej znajomości siły i wytrzymałości budulca dzieło przeprowadzić, powoli zmieniać części, rozbierać ściany, wpuścić w gmach światło przez nowe otwory, naprawić wentylację, aby wkońcu, po jednem czy dwu pokoleniach zdjąć rusztowanie; wtedy jako rodzina zamieszkamy w pięknym domu o szlachetnym wyglądzie. W tym domu pracować będziemy razem wspólnie, jak pszczoły w ulu; przewrotów żywiołowych, ani sztucznych burz i nawałnic obawiać się nie będziemy, w przekonaniu, iż fundamenty budowy naszej tkwią silnie w trwałej opoce zasad. Wszyscy też wiedzieć będziemy, że budowlę tę, w każdej chwili zmienimy, jeżeli uznamy to za konieczne i dostosujemy do nowych wymagań życia.

Jest wielu takich, którym ta myśl się nie podoba. Na podstawie faktu, iż nowi amerykańscy architekci kształcili się w pewnej szkole paryskiej, nazwał niedawno nasz domorosły dowcipniś wszystkie zdobycze odbudowy lat ostatnich „sztuką piękną“ i pstrokacizną. Ja twierdzę, iż nasza architektonika gospodarcza jest stanowczo pstrokacizną; boję się, abyśmy nie przestali się uczyć budowy tam, gdzie nasi budowniczowie tylu pięknych rzeczy

się nauczyli. Nie myślę tu o paryskiej szkole „sztuk pięknych“, ale o francuskich doświadczeniach; dziś bowiem mogą ludzie po tamtej stronie oceanu zrobić nam zarzut, że nie przystosowaliśmy naszego ustroju do życia w tym stopniu, jak oni. Ciekawiły mnie mocno niektóre przyczyny, jakie podawali nam nasi sąsiedzi z poza kanadyjskiej granicy, gdy tak silnie wstrzymywali się od zawarcia układu o „wzajemnościach“. Mówili oni: „Nie wiemy, dokądby zaprowadziła taka ugoda i nie możemy się łączyć ze Stanami Zjednoczonemi pod względem stosunków gospodarczych, dopóki te stosunki nie staną się tak nowoczesne, jak nasze“. Kiedy mnie to zaskoczyło i zacząłem się wypytywać o szczegóły, wtedy musiałem rozmowę skończyć. Spostrzegłem, że oni rozwój swego życia gospodarczego zastosowali do panujących stosunków, czegośmy w Stanach uczynić nie zdołali, czy nie umieli.

W każdym razie zaczęliśmy. Pochód ruszył. Wstecznik nie wie jeszcze, że wogóle mamy jaki pochód naprzód. On śpi w swej norze; nie słyszy, że ulica drży od pochodu ludzi, spieszących naprzód. Gdy się obudzi, zobaczy naokoło siebie pustkę; spyta, co się tymczasem stało. Nic się nie stało. Świat poszedł naprzód. Świat chce iść naprzód; zostawia on tych, którzy mu kroku nie dotrzymują, w tyle. Świat nigdy się nie litował nad piecuchami.

Ja nie oburzam się na piecuchów; ja się nad nimi lituję. Niespostrzeżenie staną oni samotni. My zaś chwytamy się ochoczo za ręce, wesoło kroczymy w przyszłość. Dlaczego oni nie idą z nami? Żałować ich nie będziemy. Po męczącej drodze kroczyć będziemy w górę, aż wedrzemy się na te wyżyny, gdzie powietrze jest czystsze, gdzie ludzie otwarcie sobie w twarz spoglądnąwszy ujrzą, że niema co ukrywać, że o wszystkiem otwarcie mówić ze sobą mogą. Tam zobaczymy, żeśmy spełnili swe zadanie wobec ludzkości. Zwiastowaliśmy światu: „Ameryka została stworzona, by podjąć się każdego współzawodnictwa, by ludzi oswobodzić i postawić na gruncie, na którym mogą się swobodnie rozwijać“. Wtedy udowodnimy, że do pracy nad budową przyszłości zabraliśmy się poważnie.

LUDWIK SKOCZYLAS.

Z uczty Zachodu.

Gdy w początkach wieku XX Polska była raz po raz wstrząsana konwulsyjnemi dreszczami grozy i bólu, syty i samolubny Zachód biesiadował w najlepsze przy stole, obficie zaopatrzonym we wszystkie przysmaki, jakie tylko na kuli ziemskiej istniały, zatykając szczelnie uszy na każdy głos cierpienia i niedoli naszej. Do upiększenia tego stołu biesiadnego sytych i zadowolonych u siebie społeczeństw europejskich zaproszono także sztukę i literaturę. Sztuka i literatura Zachodu poszła odrazu w jarzmo duchów używających, lub użycia spragnionych. Zadaniem jej było wstrząsać stępiałemi nerwami warstw posiadających, ale tylko na to, aby je choćby na krótką chwilę uczynić zdolnemi do dalszego używania.

Z takiego to nastroju społeczeństw zachodnich wyrosła cała ta obfita literatura, pochodząca z ostatnich dziesiątek lat wieku XIX i pierwszych wieku XX, znana powszechnie pod nazwą literatury upadku czyli dekadentyzmu.

Stworzyła ona mnóstwo odmian, jak: impresjonizm, symbolizm, a wreszcie futuryzm, kubizm i ekspresjonizm.

Nazwy te — to tylko różne oblicze jednego i tego samego prądu.

Dwie pierwsze importował w swoim czasie do Polski p. Mirjam-Przesmycki, późniejszy wydawca „Chimery" i minister dla sztuki i kultury w Warszawie, oraz Stanisław Przybyszewski, znany poeta i powieściopisarz; trzy zaś pozostałe nie posiadają co prawda tak wybitnych pośredników, niemniej jednak dostały się w formie odpadków z bogatej uczty Zachodu na skromny i krwią jeszcze świeżą ociekający stół polski i przyciągnęły do siebie wiele talentów młodych i niewyrobionych, wprowadzając między nie deprawację.

Dla plastyczniejszego uzmysłowienia tego twierdzenia postaram się jak najzwięźlej przedstawić, czem jest właściwie futuryzm, kubizm i ekspresjonizm i dlaczego jego działanie na polską twórczość uważać trzeba za destrukcyjne.

Futuryzm.

Futuryzm jest kierunkiem, który w równej mierze zaznacza się w malarstwie współczesnem, jak też i w poezji. Jako kierunek

urodził się on jeszcze w dobie przedwojennej we Włoszech, a za ojca jego uchodzi Włoch, Marinetti. On pierwszy nazwał wszelką sztukę dotychczasową mianem „passê-izmu“, to znaczy sztuką przeszłości, sztuką zamierzchłej epoki, sztuką bezpowrotną.

Programem pozytywnym futuryzmu jest ujawnienie rozpętanego ruchu, oraz spotęgowania życia, sięgającego granic brutalności, barbarzyństwa i obłędu. Pewna grupa futurystów francuskich ochrzciła się nawet mianem „paroxystów“, t. j. *szaleńców*. W dziełach futurystów dosłownie „bogi i ludzie szaleją“. Poeci futuryści posuwają się niekiedy tak daleko w przedstawieniu ruchu i namiętności, że zatracają zupełnie poczucie rzeczywistości widzialnej w jakiejś fantastycznej wizji, w orkanie wirujących światów. Oszałamiają się, stwarzają sztucznie poczucie chaosu i wprawiają wszystko w opętańczy tan. Nawet tworzywo ich języka uchyla się nieraz od jakiegokolwiek racjonalnego tłumaczenia.

Kubizm.

Czy są kubiści w literaturze? Tak i — nie. Jedyna racja nazywania ich kubistami jest ta, że są współczesnymi oraz przyjaciółmi tej grupy malarzy, którzy w kubiźmie szukają środka na odrodzenie malarstwa i że tak jak kubiści - malarze usiłują wynaleźć nową metodę ujmowania zjawisk i przedstawiania ich. Na czem więc polega ta metoda kubistyczna w literaturze? Na pewnem upraszczaniu i poszukiwaniu najwięcej zasadniczych form twórczości. Podobnie jak kubiści-malarze starają się kubiści-literaci dotrzeć do najwięcej prostych form sztuki. Formy te tkwią nie w temacie, ale w duszy każdego artysty, w jego stanie podświadomym. Wyrażają się one w spontanicznym wybuchu assocjacyj artystycznych. Czem jest spontaniczna assocjacja obrazów poety? Zupełną anarchją w sferze fantazji.

Jedną z najwięcej określonych form kubistycznego kierunku w literaturze jest t. zw. „*Dadaizm*“, utworzony od dwóch syllab „da-da“, jakie słyszymy z ust niemowlęcia, kiedy rozpoczyna artykułować pierwsze dźwięki mowy. „Da-da“ może oznaczać wszystko i nic, „da-da“ może wyrażać coś dobrego albo i niedobrego, „da-da“ może mieć jakąś barwę myśli lub nie mieć żadnej. Cechą tego kierunku jest zatem prymitywizm, ba, nawet barbarzyństwo, nielogiczność oraz skłonność do konstrukcji, opartej na dowolnej assocjacji i dyssocjacji.

Inną formą kubizmu jest znów „*unanimizm*“. Termin ten, ukuty na podstawie teorji Le Bon'a, który w swem znanem dziele „Psychologja tłumu“ zauważył, że indywidualność nawet najwięcej wybitna traci poczucie swej odrębności w tłumie, zlewa się z nim w jedną duszę, tworzy więc z nim razem to, cobyśmy nazwali „una anima“. Unanimiści rezygnują więc dobrowolnie z wszelkiego indywidualizmu, z tego, co stanowiło taką dumę kierunku dawnego, a starają się w miejsce podkreślania swej indywidualności wydobyć z duszy swej to, co nie ma określonej narodowości, religji i rasy. Obok tych odmian kubizmu istnieją jeszcze inne. Wszystkie mają wspólną cechę kierunku nawskróś mózgowego.

Ekspresjonizm.

Jest to nazwa nowego kierunku najwięcej rozpowszechniona i najlepiej rozgraniczająca nowy kierunek sztuki od dawniejszego, impresjonistycznego. Kiedy impresjonizm oznacza kierunek podkreślający wrażliwość artysty, odtwarzającego wrażeniowe odbicie świata zewnętrznego, to ekspresjonizm zrywa z tą bierną postawą twórcy wobec rzeczywistości i domaga się od niego jaknajwięcej spotęgowanego wyrazu jego duszy. Taki jest punkt wyjścia ekspresjonizmu. Jest on wspólny malarstwu, jakoteż i współczesnej poezji. Zerwanie z przeszłością, zarówno u malarzy współczesnych, jak i poetów, jest radykalne. U jednych i u drugich zaznacza się żywiołowo przeciwstawienie się „naturze“, analitycznemu opisowi, powiedzmy opisowości wszelkiej i podkreślenie subjektywizmu, który przekształca wszystko na swój obraz i podobieństwo. Cały świat przekształca się u ekspresjonisty w wizję jego duszy.

Ekspresjonizm gardzi utartemi drogami psychologji. Analizę psychologiczną, która dochodzi przyczyn, wyciąga wnioski, pragnie wyjaśnić ekspresjonizm odrzuca jako niewystarczające środki i zawodne metody.

Stąd płyną daleko idące konsekwencje. Ekspresjonista nie będzie bawił się dokładnem opisywaniem otoczenia, ani człowieka, ani jego aparatu mózgowo-uczuciowego. To wszystko zaznacza on w paru zaledwie rysach. Natomiast z całą pasją odtwarzać będzie chaos i bezład.

Patos i przesada znamionują styl ekspresjonistyczny. Ekspresjonizm jest kierunkiem, tworzącym się dopiero, w pełnym biegu, w stadjum wrzenia. Trudno rozstrzygnąć dziś, jakie eks-

presjonizm wyłoni z siebie trwałe wartości dla sztuki. To tylko pewnem, że na powstanie i rozwój literackiego ekspresjonizmu wpływa bardzo silnie ekspresjonizm malarski.

Rozważając wspomniane przejawy literatury europejskiej, utwierdzamy się w przekonaniu, że najnowsze jej płody spadły z tego samego drzewa, na którem zakwitł w swoim czasie impresjonizm i symbolizm.

Posiadają one bowiem te same niemal właściwości: rozkład rzeczywistości i destrukcję formy.

Podobnie jak tamte roztapiały wszystko w liryzmie i całą rzeczywistość ujmowały ze stanowiska nastroju i wyłącznie tylko nastroju, tak te znów starają się ją roztopić także w pewnego rodzaju nastroju lirycznym, którego znamieniem jest: chaos, chaos, chaos.

Te właśnie kwiaty, nie z naszej gleby wyrosłe, zamierzyła grupa warszawskich poetów przenieść na nasz grunt.

Ażeby to skutecznie przeprowadzić, trzeba było zamknąć szczelnie uszy i oczy na całą otaczającą nas rzeczywistość dziejową, zapomnieć o wszystkiem, jaki to wiek i rok, jaka rasa i naród — i uciec od krwawej rzeczywistości wprawdzie nie na jakąś wyspę osamotnienia, jak to czynili symboliści, ale w tłum rozgadany i wartko przemijający, zatonąć w szumie nie świętych gajów, ale ulicy, i oszołomić się nie hukiem fal oceanowych, ale porykujących samochodów, pociągów, autobusów i t. p. Futuryści i ekspresjoniści nasi pragną się za wszelką cenę oszołomić.

Jest to również ucieczka od rzeczywistości, tylko na inny, na nowy sposób przeprowadzona.

W tem jest cała nowość...

Zapomnieć, uciec, zniknąć, tylko nie w odmętach transcendentalizmu, ale rozkołysanego, rozpętanego wielkiego miasta, w szumie jego spragnionej upojenia i szału ulicy — oto treść ich wzlotów i nastrojów. Na tym samym poziomie są także ich próby, zdążające do wyszukania nowej formy. I na tem polu, podobnie, jak na tamtem, ujawnia się tendencja do zerwania z tem wszystkiem, co wymagało wysiłku, ze szczątkami rozbitej już przez dekadentów formy, a wprowadzenia skrajnej dowolności, pokrywającej pozorem swobody kardynalne niedomagania twórcze, jako to: niedorozwój umysłowy, ignorancję, brak kultury i nieobecność smaku i zmysłu artystycznego. Czy trzeba dodać, że wśród przed-

stawicieli tej najnowszej literatury wysuwają się na czoło jednostki pochodzenia nie polskiego?

Ale to tylko uboczny szczegół do uzupełnienia legitymacji nowych ruchów w literaturze polskiej, która — niewiadomo, czy w przyszłości będzie chciała te przetwory, zapożyczone z kuchni zagranicznej, te odpadki, spadłe ze stołu europejskiej burżuazji, przyjąć i uznać za swoje.

Dziś, kiedy na porządek dzienny wysuwa się znowu coraz jaśniej sprawa narodowego charakteru literatury współczesnej, sprawa, której pierwszym chorążym był Stanisław Brzozowski, gdy i w naszem społeczeństwie, podobnie jak we współczesnem francuskiem budzi się świadomość szkód, jakie duchowi polskiemu przyniósł wiek XIX, dziś, gdy znów idzie nam o literaturę dla zjednoczonego do wielkich celów dziejowych narodu, o literaturę, ujętą w mocne karby rozumu i etyki, nie wolno nam dłużej pobłażliwością sądu dla t. zw. „nowych“ kierunków sztuki wypaczać i dezorjentować dalej naszej świadomości i naszej literatury.

W takiej chwili — lepiej swe mdłe i słabe szczepki z obcego ogrodu pochodzące, odrazu podciąć, niż dopuścić, aby swój jad wszczepiły w zdrowy pień naszej literatury.

Złoty wiek muzyki polskiej.

Muzyka polska za czasów średniowiecza istniała niemal wyłącznie dla celów Kościoła, a nawet — możnaby powiedzieć — dzięki jego inicjatywie. Kościół dbał o rozwój muzyki, podobnie jak i innych sztuk pięknych, któremi się posługiwał dla swoich celów. Naturalnie, mowa tu jedynie o muzyce artystycznej, której zabytki przetrwały aż do naszych czasów, bo, co się tyczy muzyki ludowej, która też niewątpliwie równocześnie istniała i rozwijała się — o niej nic prawie powiedzieć nie można z powodu braku pomników. Natomiast z zakresu muzyki kościelnej zachowały się liczne tabulatury, czyli zbiory utworów, sporządzane przez księży i zakonników. W tych tabulaturach mamy bądź kompozycje oryginalne polskich muzyków, bądź też odpisy obcych, wykonywanych w czasie nabożeństw kościelnych. Tabulatury stały cię później cennym materjałem dla badaczy dziejów muzyki polskiej. Na razie były jednak spisywane wyłącznie dla użytku Kościoła tak, jak zawarte w nich utwory były komponowane na chwałę Kościoła, który był poniekąd nawet źródłem ich natchnienia, dzięki niewyczerpanej skarbnicy melodji, jaką był chorał gregorjański, dzięki legendom, dostarczającym najróżnorodniej-

szych tekstów i dzięki obrzędom liturgicznym, dozwalającym na wielką rozmaitość form muzycznych.

Jednakże ten stan rzeczy nie mógł się utrzymać, bo w miarę wzrostu i rozszerzania się cywilizacji Kościół przestał być jedynem jej ogniskiem. Natomiast pod wpływem renesansu dwory królewskie, książęce i magnackie zaczęły popierać sztukę, która tam znalazła nawet dogodniejsze warunki rozwoju, bo łatwo zrozumiały konserwatyzm Kościoła krępował poniekąd swobodną twórczość. Muzyka dzieliła również los swoich sióstr w Apollinie. Wprawdzie przez długi czas jeszcze służyła wiernie Kościołowi, ale zaczęła też nabierać światowych upodobań i przystosowywać się stopniowo do celów świeckich.

W Polsce zwrot ten daje się zauważyć w pierwszej połowie XV wieku, jak o tem świadczy rękopis, zachowany w bibljotece ordynacji Krasińskich w Warszawie, zawierający 36 utworów muzycznych. Między innemi znajdują się tam dwa panegiryki, napisane z okazji przyjścia na świat najstarszego i średniego syna Władysława Jagiełły. Daty tych narodzin: 31. X. 1424 r. i 16. V. 1426 r. w związku z tekstem, opisującym jakoby bezpośrednio te radosne wydarzenia, a jeszcze więcej rodzaj pisma nutowego, używanego właśnie w czasie między 1420—1430 r., wykazują dowodnie czas powstania tych utworów. Pewne zaś specjalne oznaki przekonywują nas, że to są oryginalne rękopisy, a nie kopje tych utworów.

Między 36-ściu różnemi utworami 6 jest opatrzonych nazwiskiem Mikołaja z Radomia, jako twórcy. Są to następujące utwory:

1) Hymn do słów: *Hystorigraphi aciem*, napisany z okazji narodzin średniego syna Władysława Jagiełły.
2) *Magnificat* (nr zbioru 11).
3) Kompozycja bez tekstu (nr zbioru 15);
4) *Et in terra pax* (nr zbioru 19);
5) *Patrem omnipotentem* (nr zbioru 20 i
6) drugie: *Et in terra pax* (nr zbioru 30).

Są to wszystko utwory trzygłosowe, pisane albo na same głosy ludzkie, jak *Magnificat, Gloria* (nr 19) i *Credo,* albo na głos ludzki z towarzyszeniem dwóch instrumentów *Hystorigraphi aciem* i *Gloria* (nr 30). Zaś nr 15 zbioru, kompozycja bez tekstu, wydaje się być utworem czysto instrumentalnym.

Harmoniczna i kontrapunktyczna konstrukcja tych utworów jest dość prymitywna i surowa, co odpowiada stylowi tej epoki, reprezentowanemu na zachodzie przez pierwszą szkołę niderlandzką z głównym jej mistrzem Wilhelmem Dufay na czele. Z drugiej strony połączenie czynnika wokalnego z instrumentalnym wskazuje na wpływ włoski, gdyż ten rodzaj muzyki, którego kolebką była Florencja, używany był we Włoszech od dawna, bo od XIV-go wieku. Z tego wynika, że nasz kompozytor znał szkołę włoską (może nawet kształcił się we Włoszech?), w każdym razie dla

sztuki swojej szuka wzorów tam, gdzie mógł znaleźć najlepsze, gdyż Włochy dzierżyły już wówczas palmę pierwszeństwa w dziedzinie muzyki, jak zresztą i w dziedzinie innych sztuk pięknych. Mikołaj z Radomia jest bodaj pierwszym z muzyków polskich, który ulega wpływom włoskim. Pozatem, na podstawie zachowanych utworów, przedstawia się nam, jako muzyk mało wprawny pod względem technicznym, o słabem wykształceniu teoretycznem. Ma jednak swoje wybitne znaczenie, jako ten, który przeszczepił styl kontrapunktyczny do muzyki polskiej.

Po Mikołaju z Radomia niema przez długi czas wybitnych kompozytorów. Z różnych zapisków i dokumentów przekonujemy się, że ruch muzyczny zataczał w Polsce coraz szersze kręgi. — Przedewszystkiem zajmowano się muzyką na dworze królewskim, który utrzymywał już swoją kapelę, złożoną z najwybitniejszych instrumentalistów i śpiewaków, a i duchowieństwo oddawało się jej z niemniejszym zapałem. Wszystkie większe kościoły miały swoje zespoły chóralne, a niemniej i klasztory miały swoich muzyków, a nawet kompozytorów, jak n. p. klasztor świętokrzyski, w którym niejaki Stanisław z Krakowa utworzył swoje *Musices compendium*. Szczególnie gorliwie uprawiał muzykę zakon kanoników regularnych w Trzemesznie i Kraśniku. Jednakże na polu wybitniejszej twórczości muzycznej panuje zastój przez czas dłuższy i dopiero z końcem stulecia pojawia się kompozytor i to jeden ze znaczniejszych.

Jest nim Mikołaj z Krakowa, o którym wiemy tylko tyle, że był organistą, ale który przekazał potomności znaczną i ciekawą spuściznę kompozytorską. Wśród kilkudziesięciu jego kompozycyj znajdujemy utwory religijne i świeckie — madrygał „Aleć nademną Wenus“ z polskim tekstem — dalej preludja organowe, a nawet — tańce. Ten zbiór tańców i melodyj tanecznych jest ogromnie ciekawy. Jest to rękopis, zawierający 36 utworów, z których 19 jest oznaczonych cyfrą N. C. (Nic. Cracoviensis). Są to tańce polskie, niemieckie, włoskie i hiszpańskie. Tańce polskie z tego czasu nie mają jeszcze owego zdecydowanego charakteru muzycznego, który się ujawnił później, wytwarzając następnie pewien swoisty typ muzyczny. Ówczesny taniec polski składał się z dwóch części: pierwsza powolna w takcie całym („chodzony“), po której następowała druga, ruchliwa, w żywem tempie, w takcie trójdzielnym („goniony“). Były więc już pewne formy choreograficzne, które nie miały jednak swoich właściwych rytmów i dlatego pod względem czysto muzycznym polskie tańce nie różniły się niczem od zagranicznych. W zbiorze Mikołaja z Krakowa tańce polskie zaznczone są odpowiedniemi nagłówkami.

Wielkie znaczenie Mikołaja z Krakowa polega na zwróceniu się jego do muzyki świeckiej, czego dowodem jest wyżej wspomniany madrygał polski i tańce. Ale twórca nietylko uprawiał muzykę świecką wogóle, lecz uprawiał ją artystycznie i zupełnie równorzędnie z muzyką kościelną.

I znowu przez czas dłuższy niema wśród muzyków polskich poważnego, prawdziwie utalentowanego kompozytora. Dopiero około połowy XVI w. zjawia się nagle cała plejada muzyków par excellence, kompozytorów wybitnych, znakomicie wykształconych technicznie i teoretycznie. Po dłuższej przerwie następuje rozkwit nagły i tak bujny, że czas ten nosi miano „złotego wieku" muzyki polskiej.

W jaki sposób wytłumaczyć sobie ten nagły rozwój, ten nadzwyczajny rozkwit?

Otóż przedewszystkiem należy sobie uprzytomnić, że ta epoka jest pod każdym względem najświetniejszym okresem dziejów państwa polskiego. Są to czasy ostatnich Jagiellonów, Stefana Batorego, Zygmunta III. Państwo polskie stało u szczytu potęgi politycznej i osiągnęło wspaniały rozkwit gospodarczy, co wytworzyło warunki wewnętrzne, wyjątkowo sprzyjające rozwojowi kultury i sztuki. W dodatku ówcześni władcy jego należeli do najoświeceńszych ludzi w Europie. Obydwaj Zygmuntowie, ojciec i syn, byli pierwszorzędnymi humanistami, a stąd prawdziwymi mecenasami sztuki. Przytem obydwaj wyjątkowo muzykalni i zamiłowani w muzyce, uprawiali ją na swych dworach i przyczyniali się do jej rozwoju wszystkiemi możliwemi środkami.

Z drugiej strony działały też czynniki zewnętrzne, które wywarły swój wpływ na muzykę świata, a mianowicie wystąpienie Lutra i reformacja. Poza przewrotem religijnym, a poniekąd i politycznym, wywołanym w świecie, Luter wywarł swój wpływ i na muzykę. Ponieważ czynił z niej po trochu środek propagandy religijnej, więc musiał ją uprzystępnić szerokim masom. Więc przedewszystkiem zastosował w muzyce, a raczej dał możność zastosowania motywów ludowych, przez co usunął melodje gregorjańskie, a tonacje kościelne sprowadził do dwóch zasadniczych: majorowej i minorowej. Następnie przenosząc melodję z głosów środkowych do sopranu, zrobił ją czynnikiem dominującym i uprzystępnił słuchaczom formę polifoniczną, nie naruszając zupełnie zasad harmonji i kontrapunktu.

Drugą ważną zasługą reformacji było wzmożenie się ruchu muzycznego. Przy nabożeństwie protestanckiem lud śpiewał w kościele, trzeba więc było dostarczyć mu psalmów i pieśni nabożnych w duchu nowego wyznania. Powstał więc cały szereg kompozytorów, którzy utworzyli odpowiednie pieśni nabożne, wydawane później w śpiewnikach. U nas te śpiewniki otrzymały nazwę kancjonałów i ukazywały się we wszystkich drukarniach krakowskich. Pierwsze kancjonały wyszły staraniem obozu dyssydenckiego i zawierały utwory obcych autorów. Katolicy, chcąc zwalczać reformację tą samą bronią, zaczęli wydawać takie same śpiewniki, naturalnie w swoim duchu. Dzięki tej walce religijnej wydawnictwa mnożyły się i ulepszały. Kompozytorowie polscy przyjęli w tym sporze też czynny udział, zasilając wydawnictwa swojemi utworami. Wydawnictwa protestanckie były zresztą liczniejsze od katolickich

i bardziej popularne, może dlatego, że były staranniejsze i pomieszczały dzieła celniejszych muzyków (między innymi dla kancjonałów protestanckich tworzył Wacław z Szamotuł). Największą popularnością cieszył się śpiewnik Jana Seklucjana.

To wzmożenie ruchu muzycznego, wywołane przez reformację, oraz usilne starania kulturalnych władców polskich w kierunku popierania muzyki wytworzyły atmosferę, która zapewniała jak najpomyślniejszy rozwój talentów muzycznych. Pytanie teraz, jakie było podłoże, z którego wynijść miały owe talenta, jakie były szkoły, w których się one wykształcić miały.

Otóż pod tym względem muzycy polscy nie mieli w kraju odpowiednich instytucyj, któreby im umożliwiały kształcenie się na miejscu. Istniały wprawdzie wykłady muzyczne na uniwersytecie Jagiellońskim, ale te dawały tylko bardzo prymitywne wykształcenie. Cały kurs muzyczny odbywał się w ciągu miesiąca, przy czem opłata wynosiła poważną sumę, bo aż... dwa grosze. Nauka ograniczała się do wykładu pierwszych zasad śpiewu choralnego, oraz początków teorji muzycznej. W dodatku nie było fachowych muzyków, lecz wykładali profesorowie, ubocznie tylko muzyką się zajmujący po ukończeniu swego przedmiotu. Z notatek akademickich, zestawionych w „*Liber Diligentarum*“ przez Wisłockiego, dowiadujemy się różnych szczegółów o tych wykładach muzycznych.

I tak n. p. w r. 1492 profesorem muzyki był niejaki Stanisław Obolec, który muzyki wcale nie wykładał; w r. 1512 wykładał muzykę Stanisław z Krakowa, matematyk, w r. 1522 znowu profesor filozofji jakiś Bartłomiej z Czystej Dębiny. Naturalnie tacy przygodni nauczyciele muzyki używali niemal że przedpotopowych podręczników i wygłaszali nieraz najdziwaczniejsze teorje. Jerzy Liban, profesor greczyzny i muzyki na uniwersytecie Jagiellońskim wykładał całkiem poważnie o gamie sferycznej, która mierzyła odległość między planetami. I tak odległość Saturna od firmamentu wynosiła 3 półtony sferyczne, Jowisza od Saturna $^1/_2$ tonu, między ziemią a księżycem 1 ton i t. d. Jerzy Liban opublikował tę teorję w książce „*De musicae laudibus oratio*“, w której dla poparcia tej teorji powołuje się na biblję, Sokratesa, Platona, Sofoklesa, a nawet na Nerona, Nabuchodonozora i Aleksandra Macedońskiego.

Inny znowu przygodny profesor muzyki, Albert z Opatowa, wykładał około roku 1548 według teoretyków niemieckich z X i XI wieku, o czem świadczą rękopisy traktatów Hucbalda i Bernona z Reichenau opatrzone własnoręcznemi notatkami poczciwego bakałarza.

Z tych przykładów widzimy, że akademja Jagiellońska nie mogła dać muzykom odpowiedniego wykształcenia. Jeżeli jednak kultura, a nawet wiedza muzyczna stały w Polsce tak wysoko, że nawet obcy muzycy tu się kształcili (kompozytor niemiecki Henryk Finck, wykształcony na dworze Kazimierza Jagiellończyka), to jest to zasługą prywatnych nauczycieli muzyki i teoretyków polskich.

Pierwszym poważnym i na wielką skalę teoretykiem i nauczycielem muzyki w Polsce był Sebastjan z Felsztyna, uczeń, a następnie bakałarz akademii Jagiellońskiej. Uczył w akademji początków muzyki, a nadto miał własną szkołę w Krakowie, następnie w Samborze i Sanoku, gdzie był plebanem. Felsztyński był kompozytorem, jednakże dzieła jego przeważnie zaginęły, jakkolwiek ogłosił je drukiem. Z pozostałych nielicznych fragmentów można tylko pobieżnie ocenić jego talent kompozytorski, który wydaje się być pozbawionym cech indywidualnych.

Natomiast jako teoretyk ma Felsztyński pierwszorzędne znaczenie, mimo konserwatyzmu, a nawet pewnych błędów. Pierwszy traktat teoretyczno-muzyczny wyszedł około r. 1519 w Krakowie pod tytułem: *Opusculum utriusque musicae,* zajmował się przeważnie śpiewem gregorjańskim, nie miał więc wielkiego znaczenia. Wkrótce potem wyszedł drugi traktat: *Opusculum musicae mensuralis,* a znacznie później dwie inne prace literacko-muzyczne: *Djalogi o muzyce św. Aureljusza Augustyna* i *Directiones musicae ad cathedralis ecclesiae Premislensis usum.* Znaczenie Felsztyńskiego polega na tem, że zerwał z skostniałą teorją muzyki scholastycznej, a w nauce kompozycji zastąpił przestarzałe formułki praktycznemi, stosownie dobranemi przykładami. Pozatem, stanąwszy raz na gruncie samoistnym, wskazał polskim teoretykom muzycznym właściwą drogę. Ponadto Felsztyński kształcił poważnie muzyków polskich i wpływ jego szkoły musimy brać w rachubę, jeśli oceniamy wszystkie czynniki, które wywołały nadzwyczajny rozkwit muzyki polskiej w XVI wieku.

Działalność Felsztyńskiego sięga prawie do połowy XVI w., to znaczy przypada na panowanie Zygmunta Starego, tego wielkiego miłośnika muzyki, który jeszcze przed wstąpieniem na tron otaczał się śpiewakami i grajkami. Na jego królewskim dworze w Krakowie przebywał stale jego nieodstępny Czuryła, bandurzysta, a zarazem najbardziej zaufany dworzanin królewski, prócz tego klawicymbalista Marek i wirginalista Wirowski przeżyli długie lata na jego łasce, uprzyjemniając mu pobyt, gdziekolwiek się udał.

Wkrótce po wstąpieniu na tron zorganizował Zygmunt Stary kapelę nadworną, w której skład, prócz muzyków miejscowych, wchodziło także kilku Włochów, przywiezionych lub sprowadzonych przez Bonę. Dyrektorem tej kapeli został również Włoch, Caëtani, po nim objął to stanowisko ks. Jan Wierzbowski. Kapela królewska miała swych bardzo dobrych muzyków, zarówno instrumencistów, jak i śpiewaków. Pod koniec życia starego króla przeszła ona właściwie na wyłączny użytek królewicza Zygmunta Augusta, który ją powiększył najznakomitszymi muzykami polskimi i obcymi i uczynił sławną w całej Europie.

Pod koniec panowania w r. 1543 ufundował Zygmunt Stary tak zw. Kapelę Rorantystów, zespół śpiewacki, którego obowiązkiem było wykonywanie utworów wielogłosowych na ran-

nych wotywach, zwanych „*Rorate*“, odprawianych w kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. W skład tej kapeli wchodziło 11 członków: proboszcz, 9 księży śpiewaków i kleryk. Kapela Rorantystów istniała aż do rozbiorów Polski i kultywowała polifoniczną muzykę kościelną. W spisach jej członków czytamy nazwiska niemal wszystkich najwybitniejszych muzyków polskich. Pierwszym jej dyrektorem był ks. Mikołaj z Poznania, po nim Krzysztof Borek.

(Dokończenie nastąpi.) *B.*

IGNACY CZUMA.

Kwestja agrarna w Rosji.

(Ciąg dalszy).

Jak dzielono parcele?

Obszczynne grunta w rozmaitych okolicach Rosji dzielono w różny sposób. 3 systemy najwięcej stosowano przy gminnem rozparcelowaniu:

a) cała przestrzeń gminnych gruntów dzieli się na długie pasy, t. zw. „sznury“, które biegną bez względu na jakość ziemi przez całą rozciągłość. Każdy członek związku obszczynnego otrzymuje w kilku miejscach takie długie linje ziemi. System ten rozpowszechniony szczególniej w północno-zachodnich gubernjach;

b) i *c*) całość gruntów dzielona jest na pojedyncze jednostki („kon“, „szapka“, „jarus“, „stołb“, „gena“), w których dopiero parcele poszczególne dzieli się między obszczynników. Różnica między temi dwoma systemami polega na tem, że w drugiej kategorji każdy chłop musi mieć przynajmniej jednę parcelę w każdym z „konów“, czy „szapek“, natomiast w trzecim to nie jest obowiązkowe.

Skutkiem tych podziałów jest to, że chłop traci całe dnie na podróżowaniu po swoich polach, mając, jak to się często zdarza, nawet po kilkadziesiąt parcel, stosownie do układu i innych okoliczności związanych z tą formą posiadania ziemi.

Taki sposób działów polnych prowadzi do szachownicy, co znów pociąga za sobą zastosowywanie przymusowego płodozmianu (trójpolówka), prowizoryczność zaś posiadania nie zachęca rolnika do czynienia meljoracji, czy wogóle jakichkolwiek innych, trwałych wkładów. To są skutki obszczyny, do których jeszcze należy dodać zmiany w rozmiarach posiadania. Rolnik po przedziale perjodycznym albo zyskuje na ilości ziemi, albo dotychczasowy zapas zmniejsza mu się; w obydwóch wypadkach wywołuje to nadmiar żywego i martwego inwentarza, to znów tegoż braki.

Ale może te wszystkie techniczne niedostatki wyrównywuje fakt, że pewna harmonja sprawiedliwości panuje na wsi — w stosunkach obszczynnych.

W tej materji przytoczę słowa prof. T. Baranowskiego: „Po pierwsze obszczyna rozdziela wyrównywująco tylko ziemię, a nie wszystkie narzędzia produkcji, dla włościanina zaś, nie mającego zaprzęgu, prowadzenie samodzielnego gospodarstwa rolnego bardzo utrudnione. Po drugie, wyrównywujące przedziały odbywają się nie często, i ziemia w międzyczasie może skupiać się w rękach pewnej części włościan. Po trzecie, tylko niektóre obszczyny praktykują prawidłowo („prawilnyje") wyrównywujące przedziały. Po czwarte, tylko nadziałowa ziemia podlega przedziałom, a chłopi prowadzą jeszcze gospodarstwo i na kupnej i na dzierżawionej. Po piąte, pojedyncze obszczyny władają wcale nierównym funduszem ziemi, są obszczyny wielo- i mało gruntowe i t. d., i t. d.".

Jak z tego najwyraźniej można się przekonać, obszczyna, zachwalana przez pewne sfery, jako wzór równości, sprawiedliwości i celowości w stosunkach agrarnych, nie jest niczem innem, jak przeżytkiem, który mimo swego anachronizmu, utrzymuje się długo, a wegetowanie swoje zawdzięcza tylko tym monstrualnym warunkom, właściwym Rosji, która najdziwaczniejsze sprzeczności utrzymuje, godzi, a nawet, co gorsza, nie byłaby daleką od tego, by i innym zalecać.

Ekonomiści rosyjscy szukają w dwu źródłach przyczyn, dla których obszczyna rozwinęła się i utrzymała, mianowicie uważają za takie fiskalną politykę rządu rosyjskiego i niedostatek ziemi.

Co do pierwszego, to od czasów Piotra Wielkiego wprowadzony podatek „od duszy" („podusznaja podat'") stwarzał precedens, że nie posiadany majątek czy dochody, a prosto indywidualność ludzka jest przedmiotem państwowego opodatkowania. Skutkiem tego powinno było nastąpić, psychologicznie zresztą zupełnie umotywowane przekonanie, że jednakowe obowiązki fiskalne stwarzają i jednakowe uprawnienia. Pozatem dla celów lepszej egzekutywy podatkowej, rząd utrzymywał długo, bo aż do 1903 roku, solidarną odpowiedzialność wszystkich członków obszczyny za wypłatność podatków i ciężarów, mających być płaconemi z ziemi (t. zw. „krugowaja poruka").

W wypadkach więc, kiedy „dolewaja obszczyna" stała przed dylematem: rozbicie obszczyny, lub jej metamorfoza w wyrównywująco-przedziałową, względy wyżej wyrażone przeważały, i typ tej ostatniej stał się dominującym w stosunkach własności i użytkowania w gminie rosyjskiej.

Jednakowoż niejednolicie pod tym względem ustosunkowały się warunki. Rejon moskiewski, centralny, zna ten najwyższy typ obszczyny już od XVI w. Natomiast ukraińskie południe ukształtowało w tym kierunku organizację wsi dopiero w XVIII i na początku XIX w. Zupełnie nie znały obszczyny kraje dawniej polskie, tudzież kraje nadbałtyckie.

W kwestji drugiego źródła (niedostatek ziemi) można się oświadczyć, że pogląd ten nie wytrzymuje krytyki. Każde państwo, każdy kraj rozporządza ograniczonym zapasem ziemi. Przy normal-

nym rozwoju ludności, przy nie nadzwyczajnym a słabym wzroście zaludnienia i być inaczej nie może, tylko zapas ziemi kurczy się (relatywnie ma się rozumieć) — zmniejsza się ciągle, ścieśnia ilość będącej do dyspozycji ziemi. Wtedy w krajach zachodniej Europy proces następuje wszędzie prawie identyczny. Zbyteczna ludność odpływa do przemysłu, miast, proletaryzując się, czy wreszcie emigruje; stosunki zaś na wsi, układając się samorzutnie, kształtują się rozmaicie, zależnie od sił konkurujących i wytwórczych kwalifikacyj rolników. W Rosji natomiast rzecz ma się inaczej. Założenie, że ludność gminy, chociaż powiększy się, ciągle w użytkowaniu wyrównywująco będzie partycypowała, utrzymuje ludność napół sproletaryzowaną, przywiązuje do wsi. Syn otrzyma mniejszy nadział, ale otrzyma, wobec czego, poco ma wychodzić, opuszczać gniazdo rodzinne i niepewnej przyszłości w rzadkich ośrodkach przemysłowych szukać. Pewność, że ziemia zawsze będzie, chociaż w minimalnej dozie, wpływała zabójczo na przedsiębiorczość rzesz obszczynnych, i w rezultacie szerokie masy włościaństwa ubożały. Nie brak ziemi był powodem utrzymywania się obszczyny, lecz obszczyna powodowała relatywny niedostatek ziemi.

A równolegle z procesem upadku — stagnacji w rozwoju wsi, szła nierównomierna, wahająca się i niekonsekwentna polityka rządu.

W czas reformy 1861 r. rząd był wrogo usposobiony do ideałów obszczynnych. Ustawa dopuszczała na żądanie $^2/_3$ członków obszczyny rozwiązanie własności wspólnej i przejścia do indywidualnej, a członkowie obszczyny, którzy wykupili swój nadział, mieli prawo wydzielenia go sobie na zasadach prywatnej własności.

Jednakowoż perjod nieprzychylny gminnemu władaniu skończył się w latach po 1880 i nastała znów era faworyzowania obszczyny, względnie utrudniania przy wychodzeniu ze związku obszczynnego. Pod tym względem charakterystyczne są 2 ustawy z roku 1893, co się tyczy tendencji, ze sobą sprzeczne. Gdy jedna krępowała wychód z obszczyny, druga ograniczała prawo obszczynne, określając dla ogólnych przedziałów perjodycznych termin upływu niemniej jak 12 lat. Na gruncie tych kontrowersyj rząd trzymał się aż do klęski wojny japońskiej i rewolucji 1905 r. W roku zaś 1903, jak już wspomniałem, zniesiona została solidarna odpowiedzialność podatkowa członków gminy i tem już stworzony został poważny wyłom w podstawach istnienia „miru“.

Reformy Stołypinowskie.

Punktem zwrotnym w stosunkach agrarnych w Rosji jest rok 1906, w którym rząd stanął na zdecydowanym gruncie polityki rolnej. Dotychczasowy chwiejny sposób traktowania przedmiotu ustąpił miejsca zdeklarowanemu stanowisku rządu, który postawił sobie szeroki program przebudowy organizacji rolnej w państwie. Do tego kroku stanowczego pobudką była zewnętrzna

słabość, ujawniona w wojnie z Japonją i wewnętrzny rozkład państwa, przy aż nazbyt silnie zarysowującem się widmie rewolucji. Ruchy po miastach robotników, a po wsiach chłopów, przekonały rząd, że zwlekać dalej i odciągać sprawy niepodobna. Wystąpiono też z szeregiem reform, z których nas interesują tylko agrarne. Rząd starał się pozyskać dla swego programu, który niżej omówimy — I-szą Dumę, jednakże wobec jej, — według zapatrywań sfer rządzących — zbyt radykalnych żądań, na własną rękę, ukazem z 9 listopada 1906 r. kwestję uregulował. Dopiero III-cia Duma z pewnemi poprawkami ustawę, jako swoją, aprobowała latem 1910 roku.

Przystępując do reformy, wykreślono wytyczne reorganizacji agrarnej w państwie, których miano się trzymać na przyszłość.

Zasadniczym motywem rządu było rozbicie obszczyny, i stworzenie silnego ekonomicznie włościaństwa średniego, któreby miało w przyszłości stanowić element państwowy, mający dostarczyć lojalnego materjału w rozwoju i gospodarczym i politycznym Rosji.

Cele, które sobie rząd postawił, były trojakiego charakteru:

a) zreorganizować kwestję wewnątrz obszczyny, w kierunku uregulowania parcel obszczynnych tak, by na przyszłość umożliwić na gruncie obszczyny lepsze, racjonalniejsze, wydajniejsze i wygodniejsze gospodarowanie. Jak wiemy bowiem, komplikacje parcel gruntowych dochodziły do wprost karykaturalnych rozmiarów. Plątanina, najśmieszniejsze wykrawki ziemi, których czasem długość do szerokości wyrażał stosunek 100:1.

b) Umożliwić i pomóc i prawnie i technicznie emancypacji włościan z obszczyny, wyodrębnieniu się z gruntów obszczynnych samodzielnych na prawie własności indywidualnej opartych gospodarstw.

c) Bez względu na formę własności indywidualnej czy obszczynnej, powiększyć rozmiary użytkowania ziemi przez włościan. W tym kierunku, jak już wspomniałem przy omawianiu instytucyj kredytowych ziemskich, ukazem z 1906 r. przekazano Bankowi włościańskiemu pewną ilość majątków koronnych do dyspozycji.

Jaką była treść ukazu z 1906 r.?

Każdy członek obszczyny ma prawo domagać się od gminy wydzielenia mu na własność tego gruntu, który on w danej chwili posiada.

Wydzielony grunt przechodzi na własność bez wynagrodzenia, jedynie w pewnych tylko wypadkach wyodrębniający się członek ma obowiązek uiścić nieznaczną zresztą zapłatę gminie.

Wydzielony grunt — według możności — ma on otrzymać w jednym kawałku.

W wypadku, jeżeli gmina nie może uczynić zadość żądaniu emancypującego się członka, musi mu zapłacić stosowną sumę pieniędzy. Ustawa określa tu, kto ma w wypadku niezgody rozstrzygać w dalszych instancjach — sąd gminy zbiorowej (wołost'), a dalej naczelnik ziemski.

Ustawa zaś z 1910 r. postanawiała, że te obszczyny, które u siebie od czasów reformy z 1861 r. ani jednego przedziału nie przeprowadzały, „ipso iure“ przestają być obszczynami, a za każdym z ich członków utwierdza się stan własności według „status quo“, t. j. według tego stanu posiadania, w jakim zastała go ustawa z 1910 roku.

Uzupełnieniem tych reform była ustawa z maja 1911 r., biorąca pod opiekę i normująca położenie mniejszości „mirian“, życzących sobie dalszego kultywowania obszczyny.

W celu realizacji reform, utworzone komisje rolne z całym aparatem technicznym, rączo wzięły się do pracy i do samej wojny europejskiej pracowały niezmordowanie. Wojna przerwała robotę, a 31 maja 1917 r. tymczasowy rząd postanowieniem zlikwidował komisję dla urządzeń rolnych. Rewolucja wrogo odniosła się do reform Stołypinowskich.

Rezultaty kroku rządowego z 1906 r. aż nadto mówią za siebie.

„W 1915 r. liczba włościan („domochaziajew“), dla których utwierdzono na własność indywidualną ich nadziały, w myśl ukazu z 9 listopada 1906 r., dosięgała cyfry 1,993.546, z powierzchnią ziemi, równającą się 14,085.684 dziesięcin. Do nich trzeba dodać około $3^1/_2$ miljona włościan, którzy będąc dawniej obszczynnikami — w myśl ustawy z 1910 r. z powodu nie uskutecznionych od 1861 r. przedziałów — zaliczeni zostali (mechanicznie) w poczet właścicieli prywatnych. Wogóle, można rachować, że liczba obszczynników, dzięki ustawom z 1906 i 1910 r., zredukowaną została do połowy. Do r. 1906 około $75^0/_0$ włościaństwa władało ziemią na prawie obszczynnem, teraz zaś liczba chłopów, indywidualnych właścicieli, znacznie przewyższa liczbę obszczynników“. (Prof. Baranowski).

Reformy kładąc sobie za cel organizację parcel chłopskich, miały podwójne zadanie:

primo: zcalanie gruntów (komasacja), z pozostawieniem zagrody włościańskiej dalej we wsi — i to będą t. zw. zcalone gospodarstwa („otrub“);

secundo: zcalanie ziemi, z tem, że chłop pobuduje się na wyciętym jednym kawałku i stworzy w ten sposób kolonję („chutor“) poza wsią, samodzielne pod każdym względem gospodarstwo.

W paru słowach streszczę wyniki prac komisyj urządzających stosunki rolne w Rosji po 1906 roku. Ogólnie rzecz biorąc, co się tyczy rozpadania się obszczyny, to proces szersze przybrał rozmiary tam, gdzie ziemi mniej, i ona przedstawia wartość większą (południe), natomiast na szerokich przestrzeniach północnych, gdzie ziemia ma wartość minimalną, tendencja do opuszczania obszczynnego związku okazała się mniejszą. W poszczególnych zaś okolicach, z różnym skutkiem organizowano przebudowę agrarnych stosunków Rosji.

Tak zwana Noworosja, t. j. Stawropol, Don, Jekaterynosław, Cherson i Taurja, dały pomyślne wyniki. Oczywiście przy równym

stosunkowo terenie musiano przy urządzaniu prac regulować ten tak ważny tutaj problem wody (stepy).

Litwa i Białoruś, nie znając obszczyny, miały za zadanie tylko komasację gruntów, przebudowę parcel, która też postąpiła pokaźnie naprzód. Okolice Ołońca, Pskowa i Nowogrodu więcej passywnie przyjęły do wiadomości reformy.

Natomiast okolice Wołgi i Uralu, za wzorem Samary i Saratowa, gdzie rozrzucone kolonje niemieckie dawały zachętę do organizacji, uwidoczniły znaczny procent uskutecznionych robót.

Ukraina prawobrzeżna i Czernichowska ziemia, z powodu rozwiniętej plantacji buraków cukrowych i intenzywnej gospodarki dla szczupłego zapasu ziemi, dały tylko nieznaczny procent urządzonych gruntów. Centralny rolniczy rejon (Kursk, Woroneż, Tambow), przy braku ziemi i istniejącem tutaj przywiązaniu do obszczyny, tudzież kwestji rozwiniętego tu przemysłu domowego („kustari“), mało okazywał zainteresowania dla reform. To samo tylko w silniejszym stopniu nastąpiło w centralnym rejonie przemysłowym, moskiewsko-włodzimierskim.

Północno-wschodni rejon (Archangielsk, Wołogda, Perm i Wiatka) mało zagospodarowany na tych szerokich przestrzeniach, z rzadkim procentem zaludnienia, nie mógł dać więcej pozytywnych rezultatów.

Tak mniej więcej przedstawia się wyżej naszkicowany przegląd reformy agrarnej, t. zw. Stołypinowskiej z roku 1906 i następnych.

Silnie zarysowana dążność do utrwalenia dominującego stanowiska prywatnej własności, przy równoczesnem technicznem uregulowaniu parcel gruntowych w całej Rosji i równolegle z tem idące tendencje polityczne, których treścią miało być utworzenie silnego gospodarczo i moralnie odpornego na hasła rozkładu społecznego stanu włościaństwa średniego — oto kwintesencja reformy. Nie mówiąc o włościaństwie — w łonie którego zaczęło się fermentowanie, ujawnione tłumnem porzucaniem obszczyny, z jednej strony i negatywnym stosunkiem do reform jeszcze wielu pozostałych zwolenników dawnej formy własności z drugiej — inteligencja demokratyczno-socjalistyczna, krytyczne, jeżeli nie wrogie, zajęła stanowisko. Żaden z programów socjalistycznych nie życzył sobie stwarzania na wsi ośrodków reakcji, podpór carskiego tronu i zamożnych, zbyt zamożnych, według partyjnych poglądów, chłopów. Dlatego na reformy Stołypinowskie zapatrywano się, jako na jeden jeszcze więcej dowód, wrogiego demokratyzmowi i ideom socjalistycznym i reakcyjnym zakusom rządu. Socjaliści-rewolucjoniści kwalifikowali rozbijanie obszczyny, jako największą zbrodnię, popełnianą na interesach żywotnych ludu i socjalizmu. Lewiej od nich stojące partje socjalistyczne, kategorycznie osądzały reakcyjną według nich robotę kliki obszarniczo-burżuazyjnej.

Każda zaś z nich z osobna kontynuowała formowanie własnych programów od przeprowadzanej reformy kardynalnie się różniących.

Projekt agrarny socjalnych demokratów.

Niżej omawiam stanowisko rosyjskich partyj wobec zagadnienia reformy ustroju agrarnego. Tutaj jedynie przytoczę projekt programu rolnego, wypracowany przez P. Masłowa, jednego z teoretyków agrarnych partji socjalno-demokratycznej.

„W interesie obrony drobnych właścicieli (a nie rozwoju drobnej własności), w celu zniesienia pańszczyźnianych, lichwiarskich stosunków, przeszkadzających swobodnemu rozwojowi ustroju demokratycznego i dla dopomożenia miejskiemu proletarjatowi w walce klasowej, partja robotnicza będzie dążyła do:

1. Zniesienia wszystkich stanowych ograniczeń włościan i włościańskiej własności.

2. Zniesienia wszelkich opłat, połączonych ze stanowem wyodrębnieniem włościan.

3. Konfiskaty dóbr kościelnych, klasztornych i należących do carskiej rodziny i oddania ich do rozporządzenia państwu demokratycznemu, dla osiągnięcia najprzydatniejszego użytkowania ich przez ludność.

(Partja robotnicza nie podejmuje się zadania, żeby naprzód osądzić, w jakiej formie konkretnej przedstawicielstwo ludowe użyje tego zapasu gruntów. Zależy to od wielu warunków. Pozostaje w każdej formie ustroju kapitalistycznego zadaniem partji socjalno-demokratycznej, żądanie od organu miejscowego samorządu demokratycznego, aby bronił interesów mas pracujących, pozbawionych narzędzi wytwórczych, t. j. miejskiego i przemysłowego proletarjatu).

4. Zniesienia zobowiązań dłużnych, noszących piętno przymusowości.

5. Oddania prywatnej własności ziemskiej (wielka posiadłość) do rozporządzenia samorządnym miejscowym organizacjom wielkich okręgów. Minimalny rozmiar podlegających wywłaszczeniu kawałków ziemi, określa miejscowe przedstawicielstwo ludowe (tu następuje umotywowanie stanowiska socjalnej-demokracji w tej kwestji).

6. Wywłaszczenie środków produkcji okazuje się żądaniem maksymalnem, nieziszczalnem w czasie najbliższym, lecz zarazem i punktem wyjścia programu partji robotniczej“.

Rewolucja 1917 r.

Żeby zrozumieć dobrze to, co się działo w czas rewolucji 1917 r., należy uprzytomnić sobie stosunek, jaki panował między wielką a małą własnością. Omawiając uwłaszczenie włościan z 1861 r., wspominałem, że era zniesienia poddaństwa w Rosji przypadła jak raz na dziesięciolecia, w których produkcja zbożowa na zbyt rozwijała się z niezwykłą energją. Producentami na eksport byli oczywiście wielcy posiadacze. Rozszerzające się wypadki zamiany czynszu („obrok“) poddańczego na pańszczyznę

(„barszczyna“) przez szlachtę-obszarników — przekonywały o rosnącej w dominjalnej własności potrzebie powiększenia gospodarstwa przez powołanie do pracy robotnika swojego, chłopa swojej wsi, pozostającego w stosunku osobistej zależności od dworu. Jak wiemy, reforma z 1861 r. przeszła wcale nie ze zgodą właścicieli ziemskich. Słynna fraza Aleksandra II, zwrócona do tych ostatnich: „lepiej gdy uwłaszczenie przyjdzie z góry, niż z dołu“, aż nazbyt jasno przekonywuje, że opór przeciw reformie był wielki, że car z tytułu swojej władzy musiał wystąpić przeciwko stałemu sprzeciwianiu się agrarjuszów-szlachty.

Ale inna rzecz uwłaszczenie, a inna uregulowanie własności ziemskiej, oparte właśnie na tej reformie. Włościanie nie otrzymali wszystkiej ziemi, którą użytkowali przed reformą. Tylko te prowincje, które były dawniej w rękach Rzeczypospolitej polskiej, a więc Ukraina prawobrzeżna (naturalnie bez Dzikich pól), Białoruś i Litwa wzięły pełne swoje nadziały, nawet z dodatkami na niekorzyść wielkiej własności. Natomiast właściwa Rosja „obcięła“ chłopów, powstały t. zw. „odcinki“, które znajdując się przed reformą w rękach włościan, obecnie przeszły jako wcielone do folwarków. Już ten jeden fakt nie mógł podziałać uspakajająco na chłopstwo. Drugi, to okoliczność, że „pańscy“ (prywatni) chłopi otrzymali nadziały mniejsze, niż koronni lub państwowi. Dalej, „obroki“ (indemnizacyjne czynsze) przedstawiały się uciążliwiej, o ile szło o kompenzowanie prywatnej własności wielkiej, niż państwa lub korony. Wreszcie prace regulacyjne, rozgraniczanie gruntów chłopskich od pańskich szły w wielkiej ilości wypadków w tym kierunku, że gmina albo była pozbawioną pastwiska lub łąki, albo jednego i drugiego, albo wreszcie dwór wrzynał się tak niewygodnie dla włościan w ich parcele, że niepodobna było na przyszłość obejść się bez przymusowej dzierżawy. Stąd renta wybitnie różniczkowa.

To była krótkowzroczność ze strony i rządu i sfer szlacheckich, że właśnie ta reforma z 1861 roku rodziła ciężkie konflikty, z punktu uspasabiając wrogo wielkie rzesze chłopstwa, widzącego swoim prymitywnym sposobem pojmowania, że dzieje się mu krzywda, że, co gorsza, ustawę, choć złą, obchodzi się, że ustawę się gwałci, a wszystko na korzyść wielkiej własności.

Jak się dalej stosunki wzajemne kształtowały?

Niekorzystnie, rzecz prosta. Chłopi z powodów, o których mówiłem wyżej, zmuszeni byli uciekać się do t. zw. spożywczej dzierżawy („prodowolstwiennaja arenda“) — rosnąca na wsi nędza pędziła chłopa na folwark, gdzie w warunkach, często wcale nie lepszych od pańszczyźnianych, pracował od wczesnego świtu, do późnego wieczoru. Konflikty między folwarczną służbą a interesem dworu załatwiał najczęściej bat ekonoma czy dozorcy („prikazczyk“), w drugiej instancji i nieodwołalnie „prystaw“. Rzadkie w Rosji ośrodki przemysłu nie mogły wchłonąć w siebie proletaryzującego się chłopa, który też „volens nolens“, szedł

służyć do dworu. Dlatego niewiele przesady mieszczą w sobie zdania niektórych ekonomistów rosyjskich, że pańszczyzna w gruncie rzeczy istniała i kwitła dalej. Bo jasne, jeśli wieś nie ma dalszych zarobków, a ziemia nie wyżywia, to trzeba było prosić dwór o pracę i chleb. I te stosunki panowały włącznie prawie do czasów wielkiej rosyjskiej rewolucji.

Do tego dodać należy agitację partyj skrajnych, które jako zadanie stawiały sobie sfermentowanie chłopa, przeciągnięcie go na stronę rewolucji. Rok 1905 i 1906 dały próbę egzaminu nastrojów chłopskich. Szeroką falą przeszły po Rosji (szczególniej południe) chłopskie ruchawki, które rząd ostatecznie uspokoił. A uspokoiwszy reformować zaczął, innemi słowy, wstępujemy w fazę ukazu z 9 listopada 1906 r. i następnych prac przebudowy ustroju agrarnego Rosji.

Jednakowoż skutki reform Stołypinowskich nie mogły za tak krótki stosunkowo czas (około 10 lat) przekształcić zasadniczo ani położenia rzeczy, ani psychologji włościaństwa. Chłopstwo dalej było rewolucyjnie usposobione, a właściciele wielcy kontynuowali tę politykę wzajemnych stosunków, jakie miały miejsce przed 1905 r. Bo żeby gruntownie rzecz zmienić, trzebaby było nagle zmodyfikować warunki gospodarczego, politycznego, kulturalnego i etycznego bytu Rosji. A tego nie można było uskutecznić żadną, nawet nadludzką siłą w ciągu paru lat.

Stąd łatwiej pojmiemy te wypadki, które jak huragan przeszły po ziemi szerokiej Rusi w lata od 1917 roku.

Wojna zabrała masy chłopskie na front, przerzucała je z miejsca na miejsce, niszczyła, uświadamiała, kaleczyła, w pewnym wypadku faworyzowała.

Żołnierze (nota bene w ogromnej większości chłopi) rozumieli dań wojny tylko w jeden sposób... Po wojnie dadzą ziemię. — Jaką ?? Tak jasne — tylko pańską, cerkiewną, państwową czy koronną, a nie chłopską. I stąd rodziło się przekonanie, że nastąpi, ale tylko jedna reforma — chłopi dostaną w ręce wielką własność.

W miarę, jak wojna się przedłużała, jak z miljonowych rzesz chłopskich wyciągano coraz większe ofiary, musiano im zacząć coraz więcej obiecywać. Rodziło się nieokreślone zobowiązanie rządu kompenzować przelaną krew chłopską, a kompenzacja mogła nastąpić tylko w formie rzucenia włościaństwu ziemi. Chłopstwo w całej wielomiljonowej masie miało żywiołowo skonstruowany program agrarny — program, wyrażony w odruchowej świadomości psychologji włościańskiej.

Ziemia będzie podzielona między włościan, a jak bliżej przedstawia się owa koncepcja, to szerzej nikogo nie interesowało.

To była ideologja chłopska, zewnętrznie nie sprecyzowana, ale tkwiąca we krwi i duszy rosyjskiego „mużyka".

A teraz spróbójmy zestawić tą linję pragnień i tendencyj chłopskich z linją pracy poszczególnych partyj rosyjskich, mienią-

cych się ludowemi. Wyżej przytaczałem dosłownie program „mieńszewików“ i przeprowadzając między nim a nastrojem masy chłopskiej paralelę, zobaczymy, że socjalni demokraci stają na gruncie interesów proletarjatu robotniczego i z tego punktu widzenia obserwują przedmiot. Dalej socjalni demokraci nie troszczą się bynajmniej, jak wypadnie w tej chwili to przykrawanie życia do programu, jakie formy ono przybierze, oni bowiem stoją na stanowisku czystości programu, drobny zaś producent „do pory, do wremieni“ (do czasu) musi być tolerowany.

To była jedna z kilku grających pierwsze skrzypce partyj rosyjskiej rewolucji 1917 r. Drugą, to było kilka odcieni es-erów. Utrzymanie obszczyny, ugminienie wszelkiej ziemi, podział wszelkiej wielkiej własności między włościan, przy równoczesnem powszechnem zniesieniu prywatnej własności. Tylko pracujący ma prawo użytkowania ziemi, które to ostatnie normowane będzie wyrównywującemi, perjodycznemi przedziałami. Ideałem es-era to kmiotek na całym obszarze Rosji jednakową porcję ziemi użytkujący, kmiotek, który dzięki chytrości es-erów potrafił wymknąć się z drapieżnych rąk kapitalistycznej epoki produkcji i przejść do rodzimej, swojskiej szczęśliwej fazy bytowania.

(Dokończenie nastąpi).

STANISŁAW SERWIN.

Zapowiedź współzawodnictwa amerykańsko-angielskiego.

Usunięcie się Stanów Zjednoczonych od uczestnictwa w Lidze narodów, silne poparcie partji republikańskiej przez 15 miljonów Irlandczyków przy ostatnich wyborach prezydenckich, konferencje przedstawicieli uciskanej przez brytyjski rząd Irlandji z amerykańskimi mężami stanu, sprzeciw Stanów Zjednoczonych przeciwko zmonopolizowaniu mezopotamskich terenów naftowych przez Anglję, jako też przeciwko zamierzonemu podziałowi zabranych kolonij niemieckich, których lwia część, a w każdym razie najlepsza, miałaby przypaść zachłannemu „John Bullowi“, wskazują na to, że wycofanie się Stanów Zjednoczonych z czynnego udziału w obecnej polityce światowej jest tymczasowe tylko. Z chwilą rozpoczęcia się urzędowania nowego prezydenta należy spodziewać się, że wielka republika zaatlantycka znowu zacznie wywierać należny jej wpływ na losy świata, który raz już uratowała przed imperjalizmem niemieckim, a teraz może uratuje go przed równie ciężkiem jarzmem imperjalizmu kupców londyńskiej City. — Jak w czasie wojny narody europejskie z Waszyngtonu oczekiwały zbawczego słowa, tak wyczekują go i teraz. Ameryka bowiem jest jedyną potęgą, która skutecznie może zaszachować dążenie

Anglji do osiągnięcia hegemonji nad całym globem ziemskim. Zrozumiałemi też są nam głosy francuskie, które wzywają rząd rzeczypospolitej do szukania przyjaźni i ścisłego porozumienia z siostrzycą zamorską. Wezwania te, zdaje się, nie uderzyły w próżnię, bo, jak ostatnie wiadomości donoszą, obecnem zadaniem Jusseranda w Waszyngtonie ma być osiągnięcie i utrwalenie ścisłego porozumienia Francji ze Stanami Zjednoczonemi. Usiłowania jego nie trafią zapewne na nieprzychylny grunt, tem bardziej, że w szeregach zwolenników p. Hardinga najwybitniejsi są i dawnymi i szczerymi przyjaciółmi Francji, a również i program samego Hardinga stanowi tę znakomitą platformę dla osiągnięcia porozumienia nietylko z Francją, ale i z każdem innem państwem, które w Ameryce będzie chciało szukać oparcia. A szukać go będą te narody przedewszystkiem, którym zagraża brutalny egoizm Albjonu. — I pomoc ta udzieloną będzie, bo w programie swoim p. Harding wysuwa na czoło zagadnień amerykańskich kwestję wpływu Stanów Zjednoczonych na politykę światową za pomocą handlu, opartego na potężnych zasobach narodu amerykańskiego i jego wielkiej flocie. Mowa Hardinga, wypowiedziana przez niego w połowie listopada w Nowym Orleanie przed wyjazdem do Panamy, jest zgłoszeniem udziału Ameryki w współzawodnictwie handlowem, a dla nas rzeczą niesłychanie ważną, bo wskazującą na to, że dyktaturze Anglji zostaną nałożone hamulce. Lecz oto najważniejsze jej ustępy:

„Ideałem, do którego powinniśmy dążyć, jest Ameryka, pełna zaufania, oparta na zasobach, jakich w tej samej mierze nie posiadał żaden lud, i kierowana przez wolny rząd reprezentatywny.

Naród amerykański zdał sobie z tego sprawę, że mamy przed sobą olbrzymie zagadnienia i że powinniśmy przystąpić do nich z odwagą, stanowczością, mądrością praktyczną i zdecydowaniem patrjotycznem.

Jeżeli będziemy umieli rozwiązać nasze wewnętrzne zagadnienia w sposób stanowczy, to będziemy mogli w większej mierze pomóc światu w rozwiązaniu jego własnych zagadnień według tej roli, która nam przypada w cywilizacji nowożytnej. Świat nigdy nie widział wzburzenia, dającego porównać się z tem, które wywołała wojna. Podjęcie przebudowy jest rzeczą nieuniknioną. Stary porządek rzeczy nie powróci nigdy. Gdyby stało się inaczej, wszystkie ofiary, złożone w przeszłości, byłyby złożone na marne. Powinniśmy odrzucić precz szczątki wojny i budować na solidnych podstawach.

Dla Ameryki jest ważnem zdać sobie sprawę z godności i znaczenia swych wytwórców. To są właśnie ci wytwórcy, którzy dostarczają światu jego istotnych środków i każdy z nas powinien przyjąć i wykonać obowiązek, który polega na wytwarzaniu dla świata, na przybyciu z pomocą potrzebom ludzkości i na towarzyszeniu jego postępowi.

Dobry rząd, zdolność jasnego myślenia, zmysł społeczny, uczciwość, współpraca władzy ustawodawczej z władzą wykonawczą i wszystkiemi czynnikami wykonawczemi — oto czego potrzeba do właściwego ułatwienia rzeczy. Lecz sam z siebie rząd nie może rozwiązać zagadnienia. On istnieje na zasadach podstawowych, które posiadają trwałe wartości. Ani nasze zbawienie, ani zbawienie świata nie może być osiągnięte samą siłą rządów i zastosowaniem powszechnego lekarstwa. Rząd jest zwyczajnie organem, który administruje urzędami zbiorowemi, oddanemi mu przez zgromadzenie społeczne. Naród amerykański jest właśnie tym, na którym cięży w ostatniej instancji największe zadanie.

Nasza zdolność wynalazcza jest bez porównania, a w przemyśle nikt nas nie przewyższa. Jesteśmy liberalni w tem wszystkiem, co należy do wychowania publicznego, wolnościowi w religji i mniemamy, że jesteśmy zawsze wolnościowi w prasie i w mowie.

Posiadamy system przewozowy, który co najmniej może być nazwany początkiem systemu przewozowego, odpowiadającego naszym potrzebom; mamy wielkie możliwości, które otwiera nam sieć naszych rzek i naszych kanałów wewnętrznych i późno, to jest prawda, obudziło się w nas zrozumienie imperatywnej potrzeby posiadania marynarki handlowej dla rozszerzenia naszego handlu, naszego wpływu w świecie i utrwalenia naszego bezpieczeństwa narodowego.

Gdyby przyjaźń Ameryki była utrwaloną węzłami handlowemi, nie byłoby rozluźnienia. Dzisiaj mamy okręty i podstawy wszelkiego handlu. Nasza przyszłość zależy od naszej polityki i od naszej techniki. Chcemy rozwinąć naszą politykę handlową i chcemy, by wywarła wrażenie ta myśl, którą jesteśmy przeniknięci, że handel jest (nawet) podstawą naszej egzystencji materjalnej. Pjonierzy handlu są zaprawdę ambasadorami cywilizacji, która się rozwija. Żaden naród nigdy nie wywierał, ani nie będzie wywierał wybitnego wpływu, jeżeli go nie oprze na handlu.“

P. SKIBA.

Z ostatnich dni.

Zaniosło się w Polsce na wielkie przesilenie rządowe, które, na szczęście, skończyło się „burzą w szklance wody“. Prezes Związku ludowo-narodowego, p. Głąbiński, zgłosił prezydentowi Witosowi decyzję swego klubu, wycofującą p. Grabskiego z koalicyjnego gabinetu. P. Głąbiński w wykonywaniu poleceń swego klubu nie pierwszy raz potknął się na osobie b. ministra skarbu, swego przyjaciela partyjnego; pierwszy raz pisząc słynny list o zamierzonym sojuszu polsko-niemieckim, teraz zgłaszając jego wystąpienie. Uchwałę motywował wiecznem dezawuowaniem i usuwa-

niem od politycznych wpływów ministra, dzierżącego pierwszą w państwie tekę — a więc usuwaniem od rządów swego stronnictwa. Nie wchodzimy zupełnie w to, czy sprowadzanie przesilenia w chwili obecnej jest czynem państwowo dodatnim; narodowa demokracja przekonała nas już gruntownie, że u niej interes państwowy zupełnie pokrywa się z partyjnym, że nie jest skłonną nawet w chwilach najgroźniejszych dla państwa cośkolwiek ze swych partyjnych zamierzeń uronić. Chodzi nam o samo przeprowadzenie tej „burzy“, która taktykę Związku ludowo-narodowego najdosadniej charakteryzuje. P. Głąbiński wiedział prawdopodobnie, iż w gabinecie zasiada oprócz p. Grabskiego drugi jeszcze narodowy demokrata, p. Kucharski, minister b. dzielnicy pruskiej; tego jednak nie wycofał...; czyżby sądził, iż reszta gabinetu, oraz stronnictwa, nie orjentują się w sytuacji? Tego nie twierdzimy; wiemy bowiem, iż narodowa demokracja dzieli Polskę na dwie części: „naszą“ (czy jeszcze?), t. j. Poznańskie, i „wspólną“, t. j. resztę Rzeczypospolitej. Tam w „naszej“ mógł p. Kucharski urzędować dalej, bodaj by mieć wpływy na przyszłe wybory. Planik, wcale nie zbyt misterny, nie udał się zupełnie. P. S. L. nie poszło na prawdopodobnie podsuwane projekty, nie poszło też i Narodowe zjednoczenie ludowe, choć tak bliziutkie endecji. Postanowiono gabinet utrzymać, oddać tylko tekę skarbu Klubowi pracy konstytucyjnej. Klęska narodowej demokracji stała się zupełną. Mimo usiłowań, teki skarbu nie odzyskała, i wolała w końcu zadowolić się pozostawieniem p. Kucharskiego w gabinecie, niż zacząć jeść gorzki chleb opozycji. A otwarcie o niej już mówił organ p. Zamorskiego „Wieniec i Pszczółka“, zmuszony wkońcu wykręcić się z tych wojowniczych zapędów zamiarem poczekania na „poprawę“ większości.

Nie jedna jednak narodowa demokracja wywołuje — względnie chce wywołać polityczny zamęt w kraju przez obalenie obecnego gabinetu. Z większym może tupetem czyni to prasa klerykalna, zwłaszcza małopolskie jej organy: „Głos Narodu“, „Lud Katolicki“ i jeszcze od nich chudszy „Robotnik Polski“. Po raz już nie wiem który zaczyna się kooperacja stronnictw klerykalnych na małopolskim gruncie, zależna zwykle od pory zbliżania się wyborów, kończąca się dotychczas zawsze przeszkodami, wynikłemi ze zbyt wybujałych temperamentów swoich przywódców. Obecnie kooperacja ta zaczęła się znowu, a objawia się gwałtownymi atakami na P. S. L. („Piast“) i prezydenta Witosa. Znowu nie chcemy kwalifikować metody tej wszczętej — już setny raz chyba — walki, bo ubliżałoby to tonowi naszego pisma; w skutkach ona zgubna, ponieważ posługując się stale kłamstwem, kreśli tak straszny obraz Polski, iż sprawozdanie ajenta bolszewickiego, wysłanego przez sowiety tajemnie do Polski (wydane na wiosnę b. r. w Moskwie), leżące na naszem biurku, jest pogodną melodją fletni pastuszej wobec ryku puzonów. Nie pomaga to nam w przygotowaniu plebiscytu na Górnym Śląsku.

Tam doczekaliśmy się także niesłychanej wprost niespodzianki w liście pasterskim wrocławskiego kardynała, ks. Bertrama, w którym ten dygnitarz kościelny zabronił księżom polskim brania udziału w akcji plebiscytowej. Zakaz ten był przez autora stwierdzony powagą Watykanu... Cały naród drgnął. Czyż Watykan jest w sprawach „zawsze wiernej Polski“ stale „źle informowany“? Czemże jest dla nas legat, mr. Ratti? Co robi nasz poseł w Watykanie, dr Kowalski? Czyż Niemcy stale będą forytowani u wrót św. Piotra?

Polski episkopat o zamiarze zakazu nie wiedział (szkoda!) i wystosował list do Watykanu z prośbą o naprawienie krzywdy; mr. Ratti wypiera się jakiejkolwiek wiadomości w tym kierunku; jeżeli jednak w sprawie Bertrama powaga Watykanu zaangażowała się, wiedzieć o tem powinien z obowiązku urzędnika polski poseł w Watykanie, prof. Kowalski. Z działalności jego sprawozdania mieliśmy skąpe; słyszeliśmy o tem, że p. Kowalski, profesor fizyki w bardzo mizernej opinji naukowej uniwersytecie we Fryburgu, ponoć „szambelan papieski“, człowiek nie tyle zdolny ile pobożny, z tego właśnie powodu wysłany do Rzymu przez p. Paderewskiego, uczęszczał tam na wszystkie uroczystości watykańskie; że wynajął dla siebie kosztem olbrzymiego wydatku ze skarbu państwa pałac którejś książęcej rodziny; że pani Kowalska (przypominają się tu słynne dowcipy Zagłoby) sprawia sobie kąpiele, których skutki fatalne kosztować będą znowu setki tysięcy, bo napuściła wody do szeregu wspaniałych sal. Zdaje się, że tyle. Polityką zajmował się p. Kowalski mniej; w każdym razie nie zapobiegł strasznej krzywdzie, jaka nasz naród spotkała. Zamiar gabinetu, idący w kierunku zmian osób na naszych posterunkach zagranicznych, dotknąć ma w pierwszej linji tego człowieka, jednego z tych, którzy opinję Polski za granicą obniżają. Rząd musi w sprawie listu Bertrama zająć jak najbardziej zdecydowane stanowisko, okazując, iż w herbie mamy nie „gęś białą“, lecz górnego ptaka, mającego dla swej obrony szpony ostre.

Żeby w końcu uwydatnić pewne rysy działalności obecnego prezydenta ministrów, Witosa, notujemy jego dar na polski teatr na Pomorzu, w Toruniu. Prezydent Witos ze swego funduszu dyspozycyjnego ofiarował na tę ważną placówkę kultury narodowej miljon marek.

Uwagi i materjały.

Reforma rolna w Anglji, Niemczech i Rumunji. Dobrą, choć mało przez ludność stosowaną, ustawę o parcelacji wielkiej własności i o ułatwieniach w nabyciu drobnych działów ziemi posiadała A n g l j a od lat wielu, teraz więc mogła się ona ograniczyć do ustawy o produkcji zbożowej, która została wydaną

w r. 1917. Celem rozwinięcia uprawy zbóż w miejsce pastwisk naznaczył rząd wysokie ceny na zboże krajowe i przewidział dopłatę z kasy rządowej dla rolników na wypadek, gdyby rzeczywiste ceny sprzedaży zbóż były niższe od oznaczonych z powodu przywozu tańszego zboża amerykańskiego. Skutek tej ustawy był taki, że już w 1918 r. obszar uprawy zbóż w Anglji i Szkocji zwiększył się przeszło o 2 miljony hektarów, czyli o 30% w porównaniu z r. 1913. Ponieważ rolnictwo mogło teraz dawać znacznie wyższe dochody, wielcy właściciele ziemscy (landlordowie), którzy przeważnie nie gospodarują na własny rachunek, ale ziemię wypuszczają w dzierżawę, i to najczęściej w formie dużych chłopskich gospodarstw (20 do 60 ha) i małych folwarków (60 do 120 ha), [1]) zaczęli podnosić czynsze dzierżawne. To znowu skłoniło dzierżawców do nabywania na podstawie dawnej ustawy rolnej na własność gospodarstw, które dotąd było im korzystniej wydzierżawiać. W ten sposób znacznie się rozszerzyły w Anglji na nowo drobna i średnia własność ziemi, które już przed 100 laty skurczyły się do bardzo nieznacznych rozmiarów, ponieważ chłopi i drobna szlachta angielska wysprzedawali się, przechodząc do handlu i przemysłu i szukając szczęścia w kolonjach.

Wspomniana ustawa angielska z 1917 r. wprowadziła także minimalne płace dla robotników rolnych, ustanawiając urzędy dla ich ustalenia co pewien czas. Urzędy te składają się z równej liczby przedstawicieli pracodawców i robotników oraz mniejszej o połowę przedstawicieli rządu.

R u m u n j a jest państwem, które pierwsze po zakończeniu wojny przystąpiło do gruntownego uregulowania sprawy rolnej. Zajęcie Besarabji, która podlegała rosyjskiemu wrzeniu rewolucyjnemu, oraz sąsiedztwo z bolszewicką Rosją, względnie bezrządną Ukrainą z jednej strony, a niebezpieczeństwo ponowienia się rozruchów rolnych, których widownią była Rumunja w 1907 r., oraz doprowadzenie włościan rumuńskich do nędzy przez straszną okupację niemiecką i austrjacką z drugiej strony, skłoniło rząd rumuński do wydania już w grudniu 1918 roku dekretu o reformie rolnej. Według tej ustawy, zostały wywłaszczone w całości wielkie obszary ziemi uprawnej, należące do państwa, króla, osób prawnych i obcych poddanych, a nadto postanowiono wywłaszczyć 2 miljony hektarów ziemi uprawnej, należącej do krajowych właścicieli prywatnych. Do dostarczenia tej ilości ziemi ma się przyczynić każdy wielki właściciel ziemski (od 100 ha) w miarę wielkości swej posiadłości według bardzo silnie zwiększającego się stopniowania, tak, że n. p. właścicielowi 500 ha ma pozostać tylko 207 ha, właścicielowi 1.000 ha 285 ha, a właścicielowi 10.000 lub więcej hektarów tylko 500 ha. Wynagrodzenie za wywłaszczoną ziemię nie może przekraczać 20-sto-krotnej kwoty czynszu dzierżawnego,

---

[1]) Mniej więcej dwie trzecie obszaru Anglji podzielone są między te dwa rodzaje gospodarstw.

wypłacone zaś ma być w 5% rencie, spłacanej w ciągu 50 lat, przyczem państwo ma pokrywać do 35% ceny kupna. Wykonanie ustawy spoczywa w rękach Centralnej Kasy dla włościańskich współdzielni, która jest naczelną władzą w sprawach podziału ziemi i jej spłaty. Wywłaszczenie ma się odbywać przy przeważnym udziale sądu. Dla przyspieszenia wykonania reformy rolnej zarządzono oddanie natychmiastowe na wiosnę 1919 r. przeznaczonej na reformę rolną ziemi w dzierżawę współdzielczym Towarzystwom włościańskim, aby potem był spokojny czas na porządne załatwienie wykupu i podziału ziemi pomiędzy nabywców na stałe.

Po Rumunji Niemcy przystąpiły do przeprowadzenia reformy rolnej. Już w styczniu 1919 r. wyszło odpowiednie rozporządzenie rządowe, na miejsce którego uchwaliło niemieckie Zgromadzenie Narodowe w sierpniu tegoż roku ustawę, stosunkowo niewiele je zmieniającą.

Reforma rolna niemiecka opiera się na następujących zasadach:

1) Przeprowadzenie reformy w poszczególnych okręgach należy do upoważnionych do tego przez rząd przedsiębiorstw osadniczo-parcelacyjnych, które otrzymują: 1) dobra państwowe do rozsprzedaży według ich wartości dochodowej oraz 2) prawo pierwokupu wszystkich gruntów o obszarze wyżej 25 ha w ciągu 3 do 6 tygodni po zawarciu umowy pomiędzy właścicielem a prywatnym nabywcą.

2) Wielcy właściciele ziemscy, posiadający ponad 100 ha użytków rolnych, tworzą związki okręgowe dla dostarczania ziemi przedsiębiorstwom osadniczym. Stają się oni wolni od tego obowiązku, jeżeli oddadzą jednę trzecią część swojej ziemi na reformę rolną, albo jeżeli przestrzeń rolniczo-użytkowa całej wielkiej własności spadnie do 10% obszaru rolniczych użytków w danym okręgu.

3) Jeżeli Towarzystwu osadniczemu brakuje ziemi dla osadników, związek wielkich właścicieli tego okręgu obowiązany jest dostarczyć jej w drodze wywłaszczenia, któremu mają podlec: 1) dobra kupione w czasie wojny przez nierolników, 2) dobra, które w ciągu ostatnich 20 lat przechodziły wielokrotnie z rąk do rąk drogą sprzedaży, 3) dobra wydzierżawione, a wkońcu 4) wogóle dobra bardzo rozległe (latyfundja).

Zasady te wskazują, że Niemcy bezpośrednio po rewolucji, spowodowanej przez klęskę wojenną, zadowolnili się stosunkowo bardzo umiarkowaną reformą rolną. Przyczyną tego był głównie wzgląd, aby nadal była możliwą w tym kraju przemysłowym i gęsto zaludnionym znaczna produkcja rolnicza. Nie wprowadzono żadnego maksimum własności, nadal mogą tam istnieć majątki, liczące tysiące hektarów, w okręgach podmiejskich i najbardziej przemysłowych; nie obniżono cen ziemi, ani nie wprowadzono żadnych nowych sposobów uprzywilejowania nabywców i popierania osadnictwa. Wykonanie całej reformy w miejsce organów rządowych

oddano przedsiębiorstwom o charakterze społecznym, ale zorganizowanych jako prywatne przedsiębiorstwa.

Prof. Dr Franciszek Bujak.

O zwrot zniszczonych i zrabowanych książek. (s.) W traktacie wersalskim zobowiązały się Niemcy do zwrotu tej samej ilości książek, rękopisów, inkunabułów, map, i t. d., które z ich winy uległy zniszczeniu w czasie pożaru bibljoteki uniwersyteckiej w Leodjum. — Faktu tego nie może spuszczać z oczu nasza delegacja pokojowa przy ustalaniu brzmienia punktu traktatu pokojowego, dotyczącego zwrotu naszych bibljotek, zbiorów sztuki i t. d., tem bardziej, że bolszewicy będą i tutaj wymyślali rozmaite przeszkody i co najwyżej będą godzić się jedynie na zwrot tego, co się ze zbiorów polskich obecnie w Rosji znajduje. Z góry musimy odrzucić takie zapatrywanie, ponieważ z Polski wywieziono bez porównania więcej, niż się obecnie w Rosji znajduje i dlatego właśnie musimy domagać się zastosowania tutaj analogicznego postępowania, jak w sprawie bibljoteki leodyjskiej, to jest uzupełnienia zagubionej lub zniszczonej części zbiorami rosyjskiemi w odpowiedniej ilości i jakości.

Musimy pamiętać o tem, że planowe niszczenie polskiego dorobku kulturalnego rozpoczęło się na wielką skalę za czasów Konfederacji Barskiej, a szczyt swój znalazło w wywiezieniu bibljoteki Załuskich, następnie zaś warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, oraz liceum krzemienieckiego. Nie wspominam już o bajecznej bibljotece mitawskiej Radziwiłłów, obfitującej w luksusowe wydania. Jak wielką była jej sława, stwierdza fakt, iż parol na nią zagięła sama carowa Katarzyna II. Drugi księgozbiór radziwiłłowski, nieświeski mianowicie, został również przez Rosjan zrabowany i stał się podwaliną bibljoteki Arsenału. W Piotrogrodzie znajduje się również część prywatnej bibljoteki królewskiej. Wymieniliśmy tylko najważniejsze zbiory, do których należy dodać jeszcze całe mnóstwo pomniejszych, prywatnych, dzielących los tamtych. Współcześni ocenili ilość zrabowanych przez Rosjan w Polsce książek, rękopisów i t. d. na przeszło miljon.

Otóż zwrotu tej ilości domagać się musimy bezwarunkowo, gdyż jest nam niezbędnie potrzebną dla nowopowstających uniwersytetów, którym dobrze zaopatrzone bibljoteki są w równej mierze potrzebne, jak laboratorja, zbiory przyrodnicze i t. p.

Sprawa to równie paląca, jak kwestja powrotu jeńców i zakładników. Przecież te książki, te rękopisy z ducha naszego powstały, są także jakby jeńcami i zakładnikami. Wyzwolić je to także nakaz moralny. A jak jeńcy i zakładnicy nasi giną w Rosji wskutek chorób i głodu — tak one giną tam i niszczeją bezpowrotnie.

Stosunki zdrowotne w Rosji. (s.) W interwiewie barona de Baye, który z końcem października b. r. powrócił do Francji po długim pobycie w Rosji, wycierpiawszy przedtem wszystko, co ze sobą przynosi najskrajniejsza nędza, czytamy cie-

kawe daty, odnoszące się do stanu zdrowotnego Rosji. Są one tem godniejsze uwagi, że opierają się na urzędowych źródłach bolszewickich. Wymowa ich przerażająca. Lecz oto one same: „Komisarjat zdrowia publicznego w Moskwie donosi, że w czasie od 1 stycznia 1920 do 1 sierpnia 1920 r. zachorowało na tyfus plamisty 2,676.123, na tyfus powrotny 1,216.763; na cholerę 7.249; na czerwonkę 31.739; na szkorbut 37.000. Z trzech miljonów mieszkańców Piotrogrodu pozostało nie więcej, jak 500.000, a jak oni żyją, nie wiadomo; w roku bieżącym wynosiła wśród nich śmiertelność 81,7 na 1000. Lekarstw i lekarzy prawie zupełnie brak; ci ostatni zostali przemocą zabrani do armji, pozostali zaś wewnątrz kraju odznaczają się przerażającą ignorancją".

Tyle raport urzędowy. Rzeczywistość zapewne jest straszniejsza. I nie mylimy się zapewne, twierdząc, że co dzień wygrywa dla nas śmierć nowe zwycięstwa.

Przymusowa „służba pracy" w Bułgarji. Wspominaliśmy już o uchwaleniu w Bułgarji ustawy o przymusie pracy. Obecnie podajemy o niej kilka bliższych szczegółów. Obejmuje ona mężczyzn i kobiety. Ustawa przewiduje do tej nowej „armji" pobór, jak do wojska; mężczyźni służą w niej rok, kobiety pół roku. Służba obejmuje dwa kierunki. Jeden to przygotowanie i organizacja; żołnierz czy żołnierka pracy pogłębia swoje wykształcenie umysłowe i zawodowe, wyrabia w sobie ducha karności i obowiązku obywatelskiego, szacunek dla każdego rodzaju pracy, poznaje organizację spółkową, kooperatywę i t. p. Drugi kierunek to produkcyjna praca nad odbudową kraju i jego gospodarczem odrodzeniem. Żołnierze pracy mieszkają gromadnie w koszarach, o ile to możliwe, w swem miejscu rodzinnem; żołnierki mieszkają w swych domach prywatnych, przy rodzinie. Ustawa przewiduje także powszechną „mobilizację pracy", która obowiązuje wszystkich obywateli między 20—30 rokiem życia.

Jak wiadomo, Bułgarzy są jednym z najpracowitszych narodów na świecie; po straszliwych klęskach wojny zaczęli swe odrodzenie od „przymusu pracy".

Od Redakcji.

Ze względu na wzrost kosztów wydawnictwa zmuszeni jesteśmy podnieść prenumeratę; od 1 stycznia pismo nasze kosztować będzie rocznie **300** marek; numer pojedynczy **25** marek.

Wydawca: Dr Michał Habuda. Red. odp.: Jan Owiński.
Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, ulica Jagiellońska 10.